BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

W NUMERZE:

MŁODY LUBLIN POETYCKI

RETRO WESOŁE I NA CZASIE
Maria Bechczyc-Rudnicka

LUBIŁAM BYĆ CHORA...
Tadeusz Jasiński

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 1 VI 1975 Nr 11 (575) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Fot. Archiwum

W jednej z gmin

Jerzy Dostatni

POKÓJ, do którego wchodzę, nie bardzo przypomina biuro, zwłaszcza że ani śladu sekretarki czy kogoś, kto by tamował wejście. Są wprawdzie dwa biurka z twardymi krzesłami i pięć miękkich foteli pod ścianami, ale w kącie za ażurowym przepierzeniem dużą emaliowana kuchenka. I rzeczywiście okazuje się, że pani naczelnik gminy Łuków, inż. Kazimiera Goławska, pracuje w pokoju „ukradzionym" — jak powiada — sekretarzowi Urzędu Gminnego na czas remontu budynku.

— Ja tu siedzę stosunkowo mało, częściej jeżdżę do ludzi, niż oni przychodzą do mnie — mówi pani naczelnik, a potwierdzają to później moi liczni rozmówcy.

— Jak to się stało — pytam — że w ogólnopolskim konkursie na mistrza gospodarności gmina Łuków zajęła jedno z trzecich miejsc? Nie wszyscy mogą być pierwszymi, ale znaleźć się w szóstce najlepszych gmin w kraju i być najlepszą we wschodniej połowie Polski — to przecież ogromny sukces. Obiektywne warunki zdawały się nie sprzyjać temu sukcesowi...

— Widzi pan, ja jestem uparta, można nawet powiedzieć, że po kobiecemu uparta. Kiedy obejmowałam to stanowisko przed 28 miesiącami, z własnej woli i chęci, chciałam po prostu sprawdzić siebie, wykazać się własną pracą i umiejętnością współpracy z innymi, to co było w wyobraźni zamienić na fakty dokonane. No i jak dotychczas udało się.

— Jest pani z wykształcenia zootechnikiem, pracowała pani w Wydziale Rolnictwa Prezydium PRN w Łukowie, więc chyba nowa praca zaczęła się od problemów rolnictwa?

— Niezupełnie tak. Rzeczywiście znałam teren doskonale, ale przecież nie ja tworzę gminę, tylko ludzie w niej zamieszkali. Zaczęliśmy więc, zaraz po utworzeniu gmin, od głębokiego sondażu w terenie — jakie ludzie mają pragnienia, jaki problem uważają za najpilniejszy do rozwiązania, jakie braki najdotkliwiej odczuwają. Wydawało się nam, że na pierwszym miejscu znajdzie się problem poszerzenia i ulepszenia usług dla rolnictwa. Tymczasem mieszkańcy gminy domagają się przede wszystkim polepszenia dróg.

Dokończenie na str. 4—5

panorama BUŁGARSKA

wydawana przez Bułgarski Ośrodek Kultury w Warszawie

Nikołaj Dymitrow-Karełow
REDAKTOR NACZELNY „BUŁGARSKIEJ PANORAMY"

RAZEM

24 maja — Dzień Bułgarskiej Oświaty i Kultury oraz Piśmiennictwa Słowiańskiego i Prasy Bułgarskiej to jedno z najpiękniejszych świąt Bułgarii. Stanowi ono triumf żywotności narodu bułgarskiego, który nie ugiął się nawet w czasach najmroczniejszych doświadczeń historycznych.

W tym dniu świętujemy wszyscy, dzień ten jest bilansem naszych osiągnięć, symbolem dążności do wiedzy, do doskonałości moralnej i duchowej, ucieleśnionej w wiecznie żywych postaciach braci Cyryla i Metodego.

Jest coś symbolicznego w tym, że „Kamena" i jej czytelnicy w tych świątecznych dniach są razem z nami. „Kamena" od chwili swego powstania troszczy się bowiem o wzajemne lepsze poznanie się literatur słowiańskich, poświęca swoje łamy literaturze bułgarskiej, przez co pozyskała sobie nasz głęboki szacunek i wdzięczność.

Będziemy szczęśliwi, jeśli na gościnnych łamach „Kameny" polski czytelnik pozna nas jeszcze lepiej, zbliży się do nas. W Bułgarii bratnia Polska i jej kultura miały zawsze i mają najwierniejszych i najbardziej oddanych przyjaciół.

„Bułgarską Panoramę" prezentujemy na str. 8 a na str. 16 — bułgarską kuchnię.

(Red)

MŁODY LUBLIN POETYCKI

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

ZAPISKI Z WYCIECZKI PO MAJDANKU

Ty który umarłeś dzieckiem w kolebce
Ty który umarłeś u stóp Peloponezu
Ty który umarłeś wśród nocy miłosnej
Ty który umarłeś głodny blisko ogrodu
Ty który umarłeś rozparty na tronie
Ty który umarłeś rozstrzelany pod murem
Ty który umarłeś rozstrzelany w plecy
Ty który umarłeś i nie zdążyłeś
Ty który umarłeś nim nadeszli
Ty który umarłeś u podnóża Sabinum
Ty który umarłeś rozpłatany księżycem
Ty który umarłeś wiosennym parnym wieczorem
Ty który umarłeś nieurodzony
Ty który umarłeś milcząc
Ty który umarłeś by kochali inni
Ty który umarłeś krzycząc
Ty który umarłeś z nienawiści
Ty który umarłeś z miłości

Jesteście wszyscy w prawej komorze mojego serca
Kiedy dam znak wędrujcie

Ty który urodziłeś się nieproszony
Ty który urodziłeś się z głogu i marchwi
Ty który urodziłeś się z mojej śmierci
Ty który urodziłeś się z Rusłana i Ludmiły
Ty który urodziłeś się przy ognisku Kwiakutlów
Ty który urodziłeś się w wąwozie spartańskim
Ty który urodziłeś się z nocy miłosnej
Ty który urodziłeś się po dniu pełnym deszczu
Ty który urodziłeś się i nie zapomniałeś
Ty który urodziłeś się z jej oddechu
Ty który urodziłeś się z cwału koni
Ty który urodziłeś się stromą gorzką strofą
Ty który urodziłeś się i umarłeś
Jesteście wszyscy w prawej komorze mojego serca
Kiedy dam znak wędrujcie

Henryk Radej

A JEŚLI JUŻ

Chcemy potęgować życie do kwadratu
do sześcianu – a z matematyki
zaledwie dostateczny
Uciekamy się do sposobów
stąd tak łatwo –
stąd tak trudno zostać aktorem
zagrać Kreona Tartufa czy Napoleona
a jeśli już
Wtedy dopisujemy sobie do biografii
trochę starożytności
komedii nam nie brak
ale sławy – nigdy dosyć
My tylko poszerzamy życie
o jeszcze jeden wymiar teatralnej sceny.

Żyje w nas przestrach ściganego mordercy
Rozstrzelany żołnierz chociaż ostatkiem oczu
także chce uchwycić garść zieleni.

Dalsze wiersze na str. 11

Po prostu - doskonalenie

Marek Adam Jaworski

W MOJEJ bibliotece mam „Podręczną Encyklopedię Powszechną", wydaną pracą i staraniem Adama Wiślickiego, redaktora „Przeglądu Tygodniowego", w roku... 1873! Ponad sto lat temu!

Wyszukuję hasła miast, o których ostatnio — w związku z przeprowadzaną reformą administracyjną — mówi się u nas wiele: Biała Podlaska, Chełm i Zamość.

Cytuję:

BIAŁA, (Radziwiłłowska, książęca, Alba ducatis), miasto pow. nad rzeką Krzną, 4,000 miesz. Starożytne siedlisko Radziwiłłów linii ołyckiej i nieświeżskiej, którzy mieli tu zamek zbudowany przez Radziwiłła Sierotkę. Trzy kościoły, a u bazylianów zwłoki błog. Józefa Kuncewicza...

CHEŁM, miasto rządowe powiatowe w guberni lubelskiej, powiecie chełmskim, nad rzeką Uherką, odwieczna osada słowiańska, w XIII w. stolica książąt udzielnych, a między nimi Daniela Halickiego; 1251 r. spaliło się do szczętu, w 1377 przyłączone ostatecznie do Polski; w 1666 opasane murem dziś zniszczonym; fabryki wyrob. metalowych, olejarnie i garbarnie, okolica obfituje w kredę, 4,471 m.

ZAMOSC, miasto pow. gub. lubelskiej nad rz. Topornicą, z fortecą; 5,821 miesz.

Przed stu laty Białą zamieszkiwały 4 tysiące ludzi, Chełm — 4471, a Zamość — 5821. Autor encyklopedii tylko przy haśle: Chełm odnotowuje zakłady przemysłowe, choć zapewne trudno je za takie uznać w dzisiejszym rozumieniu. Jeszcze dla porównania warto dodać, że Lublin liczył w tym czasie 21 124 mieszkańców i był miastem g u b e r n i a l n y m, ba — pod względem ludności, zabudowań i znaczenia społecznego był w Królestwie Polskim pierwszym miastem po Warszawie!

Dziś Biała, Chełm i Zamość, każde z tych miast, przewyższają dwukrotnie lub niemal dwukrotnie liczbę mieszkańców Lublina z drugiej połowy XIX wieku, pod względem potencjału przemysłowego proporcje są już nieporównywalne...

Byłoby rzeczą niezwykle ciekawą, jeśli można by dzisiaj obejrzeć encyklopedię z... 2073 roku i dokonać podobnej konfrontacji. Nie jestem futurologiem, można jednak oczekiwać, że reforma administracji stworzy nowym siedzibom województw wielką szansę rozwojową. Nie tylko zresztą ich siedzibom, ale i samym województwom, poszczególnym miastom i gminom, którym się zapewni równomierne warunki rozwoju.

Ostatnie cztery lata charakteryzują się całym ciągiem reform, mających na celu unowocześnienie naszego państwa i jego gospodarki. Nie można przyspieszać postępu społeczno-gospodarczego bez doskonalenia systemu kierowania. Oba te działania muszą być ściśle zsynchronizowane.

Zaczęliśmy od reorganizacji podstawowego ogniwa władzy i administracji państwowej w terenie — od utworzenia samodzielnych mikroregionów społeczno-gospodarczych. Mam tutaj na myśli gminy. Szybki rozwój gospodarczy, społeczny, kulturalny spowodował, iż koncepcja gromady przeżyła się. Trudno było każdej gromadzkiej radzie narodowej zapewnić odpowiednią kadrę. Władze gromadzkie nie były też w stanie samodzielnie podejmować węzłowych dla terenu decyzji. Bywało, że do głosu dochodziły tendencje partykularyzmu. Brak odpowiedniej ilości środków — zarówno finansowych, jak i spowodowanych nieodpowiednią siłą przerobową — powodował, iż szereg inwestycji zaczynano i nie kończono. Mieszkańcy gromad narzekali, iż w radzie niczego nie mogą załatwić. Nieliczny personel, często pozbawiony podstawowych kwalifikacji, był bezradny. Ludzie jeździli do p o w i a t u, jeździli ze sprawami drobnymi, choć uciążliwymi. Wzajemnie absorbowano sobie czas, strzępiono nerwy.

Ta sytuacja w dużej mierze uległa zmianie z chwilą utworzenia gmin, ustanowienia funkcji naczelnika gminy, którym zwykle zostawał człowiek mający poza sobą studia wyższe i pewną praktykę. Stało się to możliwe z chwilą utworzenia jednostek o większym zasięgu terytorialnym.

Gmina — to był pierwszy krok, punkt wyjścia w procesie dostosowywania organów władzy i administracji do nowej sytuacji społeczno-gospodarczej. Gmina stała się samodzielnym mikroregionem o daleko większym niż gromada stopniu współdecydowania. Automatycznie pociągnęło to za sobą pewną degradację powiatu: ogniwo powiatowe musiało przekazać szereg swych kompetencji ogniwom gminnym i miejskim. Zaczęły szybko dojrzewać warunki, aby po powiedzeniu „a" powiedzieć i „b".

Reforma, którą właśnie przeprowadzamy, a ściślej — kontynuujemy, polega na spłaszczeniu struktury administracji państwowej. Wypada jedno ogniwo — powiatowe. Wszelkie odgórne zalecenia trafią teraz do siedziby województwa i stąd już bezpośrednio — do gmin. I odwrotnie: głos gminy poprzez województwo szybciej dotrze do szczebla centralnego. Dobre doświadczenia można będzie znacznie prędzej upowszechniać. Otworzy się nowy rozdział w rozwoju socjalistycznej demokracji i samorządności społecznej, a z drugiej strony umocni się kierownicza rola partii.

Życie pokazuje, że nie ma struktur, które byłyby niezmienne. Polska 1975 roku jest inna niż Polska roku 1945. Nieporównywalnie wzrósł potencjał gospodarczy, kulturalny. Wyrosło wielu nowych działaczy, którzy zdobyli już wykształcenie w Polsce Ludowej, którzy z socjalizmem są związani nierozerwalnie, którzy umieją działać po nowemu, wyciągając wnioski z dotychczasowych doświadczeń, zarówno tych dobrych, jak i złych. Krąg znacznie się więc powiększył.

Edward Gierek mówił na XVII Plenum KC: *Konkretne formy organizacji władz państwowych i metody ich działania muszą i powinny zmieniać się w miarę jak umacniają się socjalistyczne stosunki społeczne, w miarę jak podejmujemy nowe zadania społeczno-ekonomiczne, w miarę jak rosną nasze potrzeby i możliwości. Doskonalenie socjalistycznego państwa wymaga stałego dostosowywania organizacji i metod działania do nowych warunków. Wszelkie zaniedbania w tej dziedzinie obniżają sprawność kierowania, sprzyjają biurokratyzmowi, odbijają się ujemnie na rozwoju społeczno-ekonomicznym i zawężają pole demokracji socjalistycznej.*

Był czas, kiedy władze poszczególnych województw (oczywiście nie należy tego generalizować) w praktyce postępowały tak, jakby Polska była federacją województw. Od takiego stanowiska tylko krok do innego: województwo-federacją powiatów. A powiat federacją gromad? Prowadziło to do zaprzepaszczania energii, do nadmiernych starań o lokalizację takiego czy innego zakładu właśnie w rejonie konkretnego województwa, chociaż nie zawsze istniały ku temu odpowiednie warunki. Po grudniowym plenum skończyliśmy raz na zawsze z tego rodzaju wynaturzeniami. Jasno zostało powiedziane, że Polska jest jedna.

Granice dotychczasowych jednostek terytorialnych, jednostek tradycyjnych, zaczęły rozsadzać się od wewnątrz. Uprzemysłowienie kraju, rozwój rolnictwa, tworzenie się zupełnie nowych, często daleko od centrum województwa położonych okręgów gospodarczych spowodowało, iż to, co było kiedyś postępowe, teraz stawało się wsteczne, hamujące budownictwo socjalistyczne. Edward Gierek w cytowanym wyżej fragmencie wystąpienia wspomniał o biurokratyzmie.

Sprawie tej poświęcił uwagę prof. dr. hab. Stanisław Kowalewski, który o nowym modelu administracji pisał na łamach „Życia Warszawy": *...Myśl innowacyjna, powstała na dolnych szczeblach hierarchii, jeśli musi przejść przez wszystkie stopnie i szczeble, aby dotrzeć do organu naczelnego, władnego wprowadzić ją w życie (zaakceptować) to każde napotkane w tej wędrówce „nie" przekreśla ją całkowicie, ponieważ wyklucza posunięcie się dalej. Każde natomiast „tak" nie przesądza niczego merytorycznie, a tylko umożliwia przeskoczenie kolejnego szczebla. Wystarczy więc, aby w drabinie hierarchicznej między wieloma ludźmi nastawionymi na „tak" znalazł się jeden konserwatysta nastawiony na „nie", a jego głos przeważy wszystkie pozostałe. Prosty arytmetyczny rachunek wykazuje, że przy założeniu jednakowego prawdopodobieństwa stosunku pozytywnego i stosunku negatywnego, likwidacja jednego szczebla dwukrotnie wzmaga szanse przejścia innowacji...*

Dość jednak o przeszłości, patrzmy w przyszłość. Jakkolwiek by oceniać, jasne jest, że przechodzimy teraz doniosłe przeobrażenia. Założenie jest takie, aby województwa spełniały funkcje programujące, nadzorcze i odwoławcze, ogniwa powiatowe przekażą bowiem większość swych kompetencji organom gminnym i miejskim. Rola gmin i miast, nawet tych, które dotychczas były siedzibą powiatów, nie zmniejszy się, ale wprost przeciwnie — zwiększy. Gminy i miasta staną się pełnymi gospodarzami swojego terenu. A jednocześnie — jak słusznie zauważa „Trybuna Ludu", a potwierdzi to życie — droga od centralnych ośrodków dyspozycji państwowej do ogniw podstawowych systemu stanie się krótsza. Wszystko to pozwoli zwiększyć efektywność poczynań, uprości postępowanie, wyeliminuje mitręgę, formalizm, przejawy biurokratyzmu. Łatwiej będzie wszystkim działać na miarę wielkich zadań wysuniętych przez partię.

A partia w tym roku zbierze się na swym VII Zjeździe, który będzie stanowić start do nowego programu rozwojowego. Sprawne przeprowadzenie reformy przed Zjazdem — to dzisiaj zadanie najważniejsze. I zarazem — niełatwe. Bo przecież poza problemami, powiedziałbym, centralnymi, głównymi, wyłoni się i wiele spraw jednostkowych, dotyczących poszczególnych osób, które często bardzo ofiarnie wykonywały zadania postawione przez partię. Dla nich musi znaleźć się miejsce w nowej strukturze administracyjnej. Mówił o tym premier Piotr Jaroszewicz na XVII Plenum KC PZPR. I o tym się więc pamięta.

GARMONDEM

NIEKTÓRE instytucje i przedsiębiorstwa uchylają się od opieki nad zabytkami architektury, które rozwalają się tuż pod ich nosem, i miast przystosować obiekty do własnych potrzeb kulturalnych czy socjalnych, budują nowe budynki. Bo tak jest taniej — twierdzą. Czasami rzeczywiście jest taniej. Ale tylko w złotówkach, bo przy okazji tracimy jeszcze jeden element s p a j a j ą c y naród i społeczeństwo. Niestety, tych strat nie obliczy najbardziej biegły księgowy. Tymczasem Ochotnicza Straż Pożarna w Tomaszowie Lub. zabiera się właśnie do przeniesienia zabytkowego budynku b. Urzędu Miejskiego, który uległby — drewniany i stary — rychłej likwidacji. OSP ulokuje dom w Suścu, przeznaczając go na ośrodek szkoleniowy. Widać w tomaszowskiej straży pracują wyjątkowo ś w i a t l i księgowi i komendanci, umiejący liczyć po p o l s k u.

IJK

NIE tak dawno „Sztandar Ludu" przedstawił wzruszającą historię pewnego podróżnego PKP, który w I klasie wiózł psa (rasowego, w kagańcu, szczepionego i z metryką), a pracownicy obsługi pociągu obeszli się z psem i jego panem nadzwyczaj okrutnie, wysadzając ich w połowie podróży, albowiem jakiemuś podchmielonemu obywatelowi nie spodobało się towarzystwo tej pary. Sprawa jest doprawdy straszliwa, ale zastanawiam się, ile miejsca musiałaby poświęcić gazeta, gdyby chciała się ująć za wszystkimi kobietami z dziećmi, za wszystkimi starcami, którzy po kilkanaście godzin muszą podróżować na stojąco, za wszystkimi użytkownikami wagonowych toalet, zaplutych i brudnych, z reguły, przedziałów I klasy z siedzeniami podniszczonymi i zakurzonymi, w czym szczególnie celują koleje węzła lubelskiego?

pom

W CZECHOSŁOWACJI pęd do wyposażania i adaptowania chałup wiejskich czy wznoszenia letnich chat z prefabrykatów sięga wyżyn demokratyzacji, popierany przez państwo, które otwiera dogodne kredyty na te cele. Na weekend do podmiejskiej daczy wyjeżdża w piątek wieczorem niemal pół Pragi — od robotnika do ministra. Ten ruch ma nawet w Czechosłowacji własne pismo. U nas (może nie w całym kraju?), kto sobie funduje choćby najskromniejszą letnią rezydencję, żeby się pozbyć błogosławieństwa FWP, ten uchodzi za burżuja, a co najmniej badylarza. Ponieważ społeczeństwo zarabia coraz lepiej, więc jest w tym przeświadczeniu moc obskurantyzmu. Czy nie należałoby pomyśleć o rozsądnym wydzieleniu nad Zalewem Zemborzyckim w Lublinie działek dla amatorów indywidualnego wypoczynku we własnych domkach letnich?

pod

na z chłopców z południowej Lubelszczyzny. Jechaliśmy w wagonach towarowych, takich jakich używa wojsko przy wyjeździe na ćwiczenia. Zarówno przyszła kadra brygady, jak też towarzyszący aktywiści ZMP jechali w identycznych warunkach. Trwająca prawie dobę podróż była okazją do licznych rozmów na temat przyszłej pracy i warunków.

Historia najnowsza

„SŁUŻBA POLSCE"

Mieczysław Wereski

Trzeba było zapewne wielu setek godzin pracy aktywu ZMP i „SP", aby rozwinąć u tych „chłopców z południowej Lubelszczyzny" nawyki społeczne, ambicję przodowania w pracy, nauczyć żyć w nowych warunkach. Ale dziś możemy stwierdzić, że młode pokolenie z uporem i poświęceniem wykonując ówczesne zadania, przezwyciężając trudności, niejednokrotnie chwilowe załamania i zniechęcenia, w tym trudnym pionierskim okresie — nie zawiodło.

„Służba Polsce" w swym szczytowym okresie rozwoju skupiła dużo ponad milion młodzieży. Junacy „SP" zastąpili żołnierzy na wielu budowach planu 6-letniego, ZMP kierował młodych ludzi do Nowej Huty i kopalń węgla, na budowy nowych dzielnic mieszkaniowych w Warszawie i Nowych Tychach, cementowni w Rejowcu i Wierzbicy, fabryk samochodów na Żeraniu i w Lublinie — wszędzie tam, gdzie przemysł zmieniał zacofane oblicze Polski.

W 1950 r., a więc w okresie rozpoczęcia realizacji planu 6-letniego, powołano do życia brygady nowego typu — ochotnicze brygady Związku Młodzieży Polskiej, w których służba trwała jeden rok, a młodzież pracując fizycznie tylko przez 4 dni w tygodniu po 8 godzin i ucząc się, zdobywała kwalifikacje zawodowe. Junacy poza zakwaterowaniem, umundurowaniem i wyżywieniem otrzymywali również i po 1 tys. złotych miesięcznie oraz premie za przekroczenie norm wydajności pracy.

W pierwszym roku brygady te skierowano wyłącznie do budowy Nowej Huty. Na apel Zarządu Głównego ZMP: *Przyjeżdżajcie budować Nową Hutę* — z Lubelszczyzny i innych województw tysiące młodych ludzi zgłosiło się do pracy. Tak zaczęła się jedna z zetempowskich batalii.

W 1950 r. w wyniku wielkiej akcji naboru młodzieży do Nowej Huty — opowiada ppłk Stefan Ochyra — *zgłosiłem się na ochotnika z grupą ZMP... pracowałem jako junak w 38 brygadzie PO „SP". Po zakwaterowaniu w namiotach junaków zebrano na dużym placu. Dowódca brygady poinformował nas: „Będziecie budować Nową Hutę i miasto takie, jakich przed wojną Polska nie miała". Na pytanie, jak wielka ma być ta huta, odpowiedział: „Tak wielka (robiąc przy tym odpowiedni gest), że teraz, gdy prawie nic jeszcze nie ma — zastanowił się i dodał — jednym słowem ogromna".*

Nikt z nas nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało miasto i kombinat. Przecież nigdy przedtem nie widzieliśmy tak wielkiego zakładu ani nowoczesnego miasta. To, co pozostało do dziś w pamięci, to entuzjazm i niebywałe tempo pracy, współzawodnictwo, rywalizacja między brygadami, kompaniami i poszczególnymi junakami. Wykonanie 200, 300 i więcej procent normy było na porządku dziennym.

Dodajmy, że wyniki te junacy osiągali w pionierskich warunkach. Spali w namiotach nawet w czasie jesiennych chłodów. Kiedy padał deszcz, chodzili przemoczeni i pracowali w błocie. Ale ambicją niejednego było, aby następnego dnia iść w pierwszej czwórce z czerwoną szarfą na piersi. W tej pogoni za normami było coś z zaciętej sportowej rywalizacji, może nawet zwykłego hazardu.

Od 1952 r. tworzono również brygady drogowe i rolne, które liczyły do 150 osób i działały do czterech tygodni. W 1954 r. odbył się już tylko jeden turnus brygad rolnych. Chociaż i w 1955 r., a więc w ostatnim roku istnienia „SP", z Lubelszczyzny, ale wyłącznie w ramach zaciągu ochotniczego, Wojewódzka Komenda „SP" skierowała jeszcze do brygad rolnych, pracujących w PGR-ach województwa gdańskiego, 276 dziewcząt i 113 chłopców.

Praca w brygadach rolnych, do których kierowano przeważnie dziewczęta, była ciężka, warunki życiowe niełatwe. Jednak dziewczęta i chłopcy w czerwonych krawatach i zielonych koszulach, junacy z brygad „SP", dawali z siebie wszystko.

Zrozumiałe że nie każdy był entuzjastą ciężkiej pracy fizycznej, gdzie trzeba było przecież zastępować wysiłkiem własnych mięśni braki w technice; ale ocena społeczna, koleżeńska, stanowiąca istotny element codziennej działalności wychowawczej ZMP zależała m. in. od stosunku do takiej pracy. Rażące dziś braki w ówczesnych warunkach socjalnych nie załamywały zdecydowanej większości młodych ludzi, którzy trwali na posterunkach pracy, walcząc o wykonanie i przekroczenie planu. A takiej postawy nie można było nakazać. Do niej należało młodzież zachęcić i nauczyć pokonywania trudności.

W brygadach „SP" sporo więc czasu poświęcano pracy polityczno-wychowawczej i kulturalno-oświatowej. Były świetlice wyposażone w gry, czasopisma i gazety, instrumenty muzyczne i biblioteczki. Junacy uczestniczyli w zespołach teatralnych, chóralnych, muzycznych i innych. Zespoły te dawały dość często koncerty i imprezy dla całej brygady oraz dla społeczeństwa, niektóre nawet występowały na antenie Polskiego Radia. Organizowano także wycieczki krajoznawcze. Dużą wagę przywiązywano też do zwalczania analfabetyzmu wśród junaków i analfabetyzmu wtórnego oraz upowszechniania książki.

Na atmosferę w brygadach „SP" istotny wpływ miało i to, że kadra pracowała razem z junakami, instruktorzy wojskowi ćwiczyli razem z nimi. Istniało więc partnerstwo w realizacji wspólnych zadań. I chociaż nie było żadnych recept na wychowanie tak różnorodnej zbiorowości, często też dostatecznego przygotowania, to jednak ciężka, sensowna praca wychowywała junaków, tworzyła koleżeńskość i wyzwalała energię, a także refleksję nad sprawą najważniejszą, jaką była i jest walka o przyszły kształt Ojczyzny.

łają o maszyny. Tymczasem u nas jeden ciągnik przypada na 270 ha, trzy razy mniej niż wynosi przeciętna wojewódzka. Nie mamy ani jednego kombajnu! Nawet ziemniaczanego, chociaż to teren wybitnie ziemniaczany. Dawny Powiatowy Związek Kółek Rolniczych nie bardzo o to dbał, no i są konsekwencje.

— Wysokie miejsce w konkursie ogólnopolskim to zarazem 3 miliony złotych nagrody. Co pani zamierza z tą sumą zrobić?

— Prawdę powiedziawszy mamy więcej, z nagrody powiatowej i wojewódzkiej zebrało się jeszcze 1250 tys. zł. No i nie może być inaczej, pieniądze pójdą przede wszystkim na drogi. To znaczy asfalt, bo podłoża po staremu będziemy robili czynami społecznymi. Mam też nadzieję, że dyrekcja lasów państwowych da się wreszcie do końca przekonać o konieczności partycypacji milionem złotych w budowie dróg, które także jej są potrzebne. Mamy w gminie tylko trzy biblioteki, więc w tym roku budujemy dwie nowe, na zakup książek dałam już zaliczkowo 50 tys. zł. W Strzyżewie rozbudowujemy szkołę i przygotowujemy budowę przedszkola, ale nie tylko tam. Już kupiliśmy część wyposażenia dla klubu w Czerśli, Zalesie otrzymuje świetlicę itd.

— A takie skryte pragnienie?

— Bardzo bym chciała przeprowadzić pełną radiofonizację naszych 40 wsi, chociaż to będzie kosztowało półtora miliona złotych. Nie podejmuję się roboty, w której sens sama nie wierzę, stąd też — dziś mogę już zdradzić — bywało, że niektóre pisemka z powiatu po prostu kładłam do biurka. Ale w potrzebę tej radiofonizacji wierzę. Instruktor rolny nie jest w stanie obsłużyć dziś wsi tak, jak należy. Wiadomości do chłopów poprzez ogłoszenia czy tzw. specjalnych wysłanników nie zawsze docierają na czas, a zawsze w skrócie, nierzadko zdeformowane. Chodzi mi także o powszechność szkolenia rolniczego. No i o to, że naczelnik będzie mógł osobiście niemal porozmawiać z każdym mieszkańcem, odpowiedzieć na pytania zbiorowe czy indywidualne, samemu pytać. Chcę też w tym roku zorganizować w każdej wsi opiekę nad dziećmi w okresie wzmożonych prac polowych. Ale taką prawdziwą opiekę z wyszkolonymi opiekunkami, z placami zabaw i gier. Mamy wreszcie w gminie dużo dachów słomianych i drewnianych, wygląd zewnętrzny nie jest jeszcze przedmiotem powszechnej troski. Chcemy w tym roku zagospodarować wzorowo cztery wsie, chodzi o pełne inwestycje, modernizacje, wygląd zewnętrzny.

— Zanosi się więc na dobre miejsce także w tegorocznym konkursie na mistrza gospodarności?

— Nie chcemy być w tym roku gorsi niż w poprzednim, biorąc oczywiście pod uwagę, że inni też robią wszystko, aby wyjść na czoło. Ale jeżeli nie postawimy sobie znowu ambitnego celu, to po prostu pozostaniemy w tyle. Ale może by pan redaktor pojechał do jakiejś wsi?

— Niech będą Jeziory, mijałem je po drodze z Lublina. To jedna z lepszych czy gorszych?

— Sam pan zobaczy. Powiem tylko tyle, że tam co piąty rolnik ma samochód osobowy, a co czwarty ciągnik.

Jedziemy więc najpierw pięknym asfaltem. Potem polna droga, w której dołach moja „syrena" żałośliwie jęczy. Całe szczęście, że od dziesięciu dni nie padał deszcz. W Jeziorach wita nas rozpadająca się, drewniana stodoła, ale kilka metrów za nią już nowa, murowana, z eternitem na dachu. Główna droga we wsi zupełnie podobna do tej dojazdowej.

Wjeżdżamy na obszerne podwórze koło mocno już sfatygowanego domu mieszkalnego z kamienia i drewna. Po prawej stronie i na wprost dwie duże, niedawno zbudowane stodoły. Murowane, kryte blachą, ze stalowymi dźwigarami. Po lewej jakaś drewniana buda, od której ciągnie mocny smród. Po prostu wokół morze gnojówki, a i wewnątrz daleko do porządku, co widać przez otwarte drzwi. Ale w jednej części widać chyba ze dwadzieścia wesołych warchlaczków, w drugiej i trzeciej już mniej lub więcej dorosłe świnie, wszystkie jednakowej, dorodnej rasy.

Fot. Archiwum

Zza prawie nowego „ursusa" wychodzi gospodarz, Mieczysław Wysokiński, krępy, silnej budowy mężczyzna, tuż za nim żona. Pewnie widzi, jak kręcę nosem i staram się oddalić od chlewu, więc prowadzi mnie trochę dalej, obok jednej ze stodół.

— Tu będzie nowa chlewnia, jeszcze w tym roku. W tej starej mam tylko sto sztuk, w nowej zmieści się przynajmniej trzysta, albo sto pięćdziesiąt krów. Będzie w pełni zmechanizowana, nawet z taśmą do podawania pokarmów. No i skanalizowana do betonowych, zakrytych zbiorników — dodaje. A w stodole też wszystko zmechanizowane — elektryczna sieczkarnia, wialnia, młocarnia.

Po obejściu gospodarstwa, w dwóch trzecich już nowoczesnego, ale w jednej trzeciej jeszcze starego, siadamy w pięknie urządzonym pokoju, aż lśniącym od czystości. Po chwili zjawia się w jakiejś sąsiedzkiej sprawie pani Jadwiga Sawczuk, przewodnicząca Gminnej Rady Kół Gospodyń Wiejskich, zarazem członek NK ZSL. Gawędzimy więc wspólnie o mniej i bardziej ważnych sprawach, przeskakując z tematu na temat. Więc i relacja z tego nieco rozwichrzona.

Wysokiński od wielu już lat dostarcza pokaźne ilości eksportowych sadzeniaków, jeden z pierwszych w województwie. Ale wielu rolników zaprzestaje uprawy ziemniaków ze względu na dotkliwy brak kopaczek, zresztą w całej gminie. Ziemia tu lekka, więc terminy zabiegów agrotechnicznych krótkie. Z powodu dotkliwego braku maszyn nie wszystko zdąży się zrobić na czas, to obniża plony. Wprawdzie co roku są wyższe i niektórzy gdzieś tam są zadowoleni, ale mogłyby być jeszcze wyższe. Dostawa maszyn to wyzwolenie wielu rezerw tkwiących w rolnictwie, w Łukowie nie wszyscy o tym pamiętali. Administracja w nowej formie powinna to szybko nadrobić.

W Jeziorach prawie cała produkcja roślinna została podporządkowana potrzebom hodowli. Rolnicy, nie tylko Wysokiński i Sawczukowa, hodują po trzy, a nawet cztery razy więcej trzody i opasów, niż przed dwoma laty. Jeżdżą po innych województwach i padpatrują, czytają książki i gazety, uczą się z radia i telewizji. I trzeba, powiadają, aby na instruktorów rolnych kierować dziś już tylko ludzi z wyższym wykształceniem rolniczym, bo wielu rolników z praktyki wie więcej, niż technicy wynieśli ze szkoły.

A drogi we wsi, ta dojazdowa i główna, już w tym roku będą ulepszane. Przed kilkoma dniami pani naczelnik, którą tu nazywają szefową, na zebraniu wiejskim wysunęła taką propozycję. Przyjęto ją jednogłośnie obiecując nawet bezpłatne odstąpienie skrawków gruntów, aby je odpowiednio poszerzyć. A na końcu Wysokiński powiada: „Nie chcemy być gorsi od przemysłu i co tylko państwo zażąda od rolników, to my nadstawiamy ucha i... robimy. Bo opłaca się wszystkim".

Jerzy Dostatni

Kamena str. 5

panorama BUŁGARSKA

KONTAKTY

BEZPOŚREDNIE i bardziej powszechne zetknięcie się Polaków z Bułgarami nastąpiło w XIX wieku, kiedy to po tragicznych końcach powstań: listopadowego i styczniowego oraz po zduszeniu rewolucji węgierskiej 1848 roku, Polacy gromadnie udawali się do Turcji. Tu stykali się z Bułgarami, którzy tak jak i oni znajdowali się pod obcym jarzmem. Wielu spośród polskich emigrantów zajmowało się pisarstwem. Swoją działalność kontynuowali i na obczyźnie.

Jednym z pierwszych ludzi pióra, którzy zetknęli się z problemem bułgarskim, był Adam Mickiewicz. W swoich wykładach w Collège de France w Paryżu podawał on pewne wiadomości o literaturze i języku bułgarskim. W późniejszym okresie swego życia — na miesiąc przed śmiercią — spędził dziesięć dni w Bułgarii.

Drugim polskim pisarzem, żywo interesującym się sprawami bułgarskimi był Mehmed Sadyk-Pasza (Michał Czajkowski). W latach trzydziestych ubiegłego wieku wydał on powieść pt. „Kirdżali", której bohaterem jest Bułgar. Również w kilku innych utworach tego pisarza pojawia się tematyka bułgarska.

Zygmunt Fortunat Miłkowski, znany powszechnie pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża, przemierzył całą Bułgarię pieszo od Widinu do Szumen. Wszędzie — jak pisze w swoich pamiętnikach „Od kolebki przez życie" — był przyjmowany niezwykle gościnnie. Spod pióra Miłkowskiego wyszły trzy powieści o tematyce bułgarskiej: „Asen", „Zarnica" i „W zaraniu". Pierwsza z nich opowiada o bohaterskiej walce braci z Tyrnowa, Piotra i Asena, o wyzwolenie ojczyzny z niewoli bizantyjskiej. Przy okazji autor śmiało rozwiązuje szereg problemów, które na pewno nie stały przed historycznym Asenem, a częstokroć — przed polskim i bułgarskim działaczem niepodległościowym. Akcja „Zarnicy" toczy się już w nowszych czasach — po wojnie krymskiej.

Trwały ślad w historii zbliżenia polsko-bułgarskiego pozostawił też Bronisław Teodor Grabowski z wykształcenia slawista. Poświęcił on Bułgarii swoje trzy prace.

Trzeba nadmienić, że również i Bułgarzy interesowali się już wtedy Polską, jej historią i literaturą.

Na podstawie artykułu
Sławomira Skwarskiego

LITERATURA BUŁGARSKA ZA GRANICĄ

UTWORY literackie bułgarskich pisarzy i poetów, prace bułgarskich naukowców, książki techniczne i o tematyce społeczno-politycznej można dziś spotkać na całym świecie. Wydano je w blisko 70 językach i dziesiątkach milionów egzemplarzy.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że w 1972 r. z okazji 90-lecia urodzin Georgi Dimitrowa książki z jego pracami i jemu poświęcone ukazały się nie tylko w krajach socjalistycznych, ale również w dalekiej Japonii, Indiach, Libanie, Islandii, Norwegii, RFN i Włoszech. We Francji czytelnicy mogli zapoznać się z nowymi pracami: publicystycznym esejem „Oto człowiek" prof. Wł. Topenczarowa i szkicem biograficznym „Georgi Dimitrow" Kamena Kałczewa.

Wyjątkowo ciekawe dla obcego czytelnika ze względu na wyraźny rozwój bułgarskiej literatury, są dwa ostatnie lata. W okresie tym ukazało się 16 zbiorów antologii autorów bułgarskich — klasyków i pisarzy współczesnych. W Amsterdamie, w tłumaczeniu na język holenderski, wydano antologię „Mistrzowie bułgarskiego opowiadania"; w Brukseli w języku flamandzkim ukazała się „Bułgarska proza"; w Kopenhadze — „Bułgarskie opowiadania"; w Syrii, Pakistanie i Indiach — cztery pozycje, zawierające prace literackie.

Każdego roku ukazuje się w Polsce przynajmniej kilka powieści lub opowiadań bułgarskich prozaików, tomiki poezji bułgarskiej, a także książki z zakresu historii, techniki, medycyny i turystyki.

W latach 1971—1973 wydano antologie poezji bułgarskiej w Jugosławii, Grecji i Turcji.

Na specjalną uwagę zasługuje zbiór dramatów, zatytułowany „Sztuki bułgarskich autorów", który ukazał się w języku rosyjskim w Moskwie. Po rosyjsku i w innych językach narodów Kraju Rad ukazały się 42 książki, których autorami są bułgarscy klasycy i twórcy współczesnej literatury.

Czytelnik japoński i amerykański otrzymał w nowym przekładzie powieść Iwana Wazowa „Pod jarzmem". W USA ukazał się zbiór nowel i opowiadań Em. Stanewa „Dziki las" oraz powieść Ant. Donczewa — „Czas rozłąki". Po raz pierwszy na Kubie, w pięknej szacie graficznej, bogato ilustrowane przez narodowego artystę B. Angeluszewa, wydano utwory J. Wapcarowa. Zbiór nosi tytuł „Prace wybrane". Poemat Geo Milewa „Wrzesień" ukazał się w Turcji. Po raz pierwszy za granicą został wydany jeden z najlepszych utworów literatury bułgarskiego odrodzenia — „Życie i cierpienie" Sofronija Wraczanskiego. Książka ukazała się w Lipsku w języku niemieckim. Także w języku polskim ukaże się jeszcze w tym roku 9 innych książek współczesnych bułgarskich pisarzy i poetów.

Poprzez liczne tłumaczenia bułgarskich książek i dzięki stałemu udziałowi bułgarskich wydawnictw w różnych międzynarodowych wystawach i targach, bułgarska literatura coraz bardziej rozszerza swój wkład w kulturę ogólnoświatową.

(s)

SOFIA

SOFIA, stolica Bułgarii, wytwarza 14 proc. dochodu narodowego całego kraju. Miasto to jest nie tylko ośrodkiem życia gospodarczego, lecz także wielkim centrum kulturalnym. W stolicy mieszka i pracuje ponad 80 proc. kadr naukowych oraz ok. 50 proc. kadr inżynieryjno-technicznych Bułgarii.

W 1880 roku ludność Sofii liczyła 20 860 mieszkańców, natomiast przy końcu 1973 r. — 1 055 100 (tzw. wielka Sofia — wraz z przyłączonymi do niej podmiejskimi wsiami). Na jednym kilometrze kwadratowym mieszka w Sofii 1016 osób, podczas gdy średnia dla całego kraju wynosi 78.

R. I.

Rys. Hanna Parpułowa

Antologia prozy polskiej

NAKŁADEM sofijskiego wydawnictwa „Narodna Kultura" ukazał się zbiór „Współczesne polskie opowiadania". Antologię opracował Dymitr Ikonomow, jeden z tłumaczy zawartych w niej utworów. Na blisko 500 stronicach zamieszczono 40 opowiadań 27 autorów, m. in. Jarosława Iwaszkiewicza, Wojciecha Żukrowskiego, Kazimierza Brandysa, Jerzego Putramenta, Michała Rusinka, Tadeusza Różewicza, Józefa Lenarta i innych.

Zbiór ten jest kontynuacją antologii „Burzliwe lata", wydrukowanej przez to samo wydawnictwo w języku bułgarskim w 1957 r. Pierwsza zawiera polskie opowiadania, opublikowane w latach od zakończenia II wojny światowej do 1956 r. włącznie. Nowy zbiór przedstawia opowiadania i nowele wydrukowane, z niewielkimi wyjątkami, w latach 1957—1972. Można go uznać za próbę przedstawienia dalszego rozwoju polskiego opowiadania w ostatnich piętnastu latach.

Prezentujemy wiersze poetki najmłodszego pokolenia. Miriana Baszewa ma 24 lata i poza sobą debiut poetycki w czasopiśmie literackim „Septemwri". Wybitny współczesny poeta Al. Gerow uważa ją za jeden z najwybitniejszych talentów poetyckich, który pojawił się w ostatnim okresie w Bułgarii.

Miriana Baszewa

KRÓL

Czy już podałeś swą cenę?
Czy często będziesz dzielił stół
pomiędzy zdradę i sprzedajność
na równe części, pół na pół.

Na ciebie jak z pełnego wiadra
czyż już wylały się przekleństwa?
I lizusostwo i tchórzostwo
błazeńskie pozy, pseudomęstwa.

Nawet bez tego jesteś winien.
I wiele razy znowu zgrzeszysz.
Człowieku, mówisz o ludzkości
więc sam na siebie popatrz — śmieszysz
I sam na siebie podaj cenę
w tym swoim monopolu blagi!

Historia przecież to osądzi
kto władcą był, kto królem nagim...

ALUZJA

Hej, przypomnij mi, co chcę powiedzieć,
Ja jestem kwiatem,
delikatnym, trochę naiwnym,
pachnącym latem.

A ty brutalnie,
wziąłeś me serce,
chodzisz i nosisz
kwiat w butonierce.
Kwiat który więdnie
w smutku usycha,
zamiast miłości —
tylko twa pycha.

Hej, podpowiedz mi abym c[illegible]
że jestem wirem
w głębokiej wodzie
I wiarołomna jak wir zdradliwy,
a kto weń wpłynie
odejdzie z żywych
(Pamiętaj o tym —
bo się utopisz!)

Przełożył Włodzimierz B. Sega

Kamena str. 6

Nikołaj Chajtaw

KORYTO

KORYTO jest stare, obrośnięte brodawkami i liszajem mchów, ale jeszcze zna się na swojej robocie: przygarnia wodę tryskającą ze źródła, utula ją w dłoniach i uważnie rozlewa na trawy, które umierają z pragnienia.

Zzieleniałe ze starości koryto... Niejedno widziało i niejedno przeżyło. Drwale próbowali na nim ostrza siekier inni wbijali w nie noże, jeszcze inni siekali tytoń, póki nie podziurawiło się poznaczone starymi i świeżymi bliznami dobre koryto.

Powiadam „dobre", bo przez całe życie czyniło tylko dobro. Czyniło dobro ptakom, czyniło dobro ludziom, bydłu, kozom i pastuszkom, wszystkim, co schodzą się do wodopoju. A ileż ptactwa w nim się kąpie! Ileż ptactwa pierze w nim sobie pióra! Zwłaszcza wiosną, bo gdy ptaki są zakochane, kąpią się i czeszą co godzinę. Wtenczas zlatują się do koryta nieśmiałe słowiki, dziarskie skowronki, zaczepne sikorki, pewne siebie sójki i wszelkie inne ptactwo. Pluskają się w wodzie, przeglądają się w jej lustrze, znowu się pluskają i odlatują lśniące z czystości. Przed nocą poślubną zlatują się nawet turkawki szaropióre, przyozdobione sznurkiem paciorków, kąpią się wstydliwie i odfruwają z jeszcze większym zawstydzeniem, zostawiając korytu w darze jedno piórko.

Rzecz jasna przylatują także inne ptaki: kłótliwe kosy, gdy stoczą pojedynek wlażą do koryta obmyć okrwawione dzioby i zabłocone łapy. Dzięcioły po mięsożernej uczcie przychodzą uprać sobie śnieżnobiałe gorsy. A nocną porą przylatują nocne ptaki, żeby zmyć z piór krwawe ślady hańby. Puchacze, sowy i rozmaite inne. Ptaki odfruwają ukąpane, lśniące z czystości, a w korycie zbiera się błocko, wytarty puch i pierze. Tyle puchu i tyle najrozmaitszych piór, że starczyłoby na dwa ogromne skrzydła, większe od skrzydeł orła i barwniejsze od skrzydeł głuszca, więc stare koryto mogłoby na nich poszybować jak bocian.

Cóż by to był za widok: na wpół przegniłe, zzieleniałe od pleśni, rozpadające się koryto przecina niebo i furgocząc szybuje po obłocznych wyżynach, wystrzela w górę jak skowronek i spada jak jastrząb, a w dole szczyty górskie gną się ku ziemi i kulą przerażone lotem nieznanego ptaka.

Poleciałoby, ale któż zatroszczy się o wodę do mycia i do prania?

Tłumaczyła T. Dąbek-Wirgowa

TADEUSZ KUDUK

Z wystawy indywidualnej w Lublinie, w kwietniu 1975

1. OBRAZ Z KŁÓDKĄ
2. ON - POLSKI EDYP

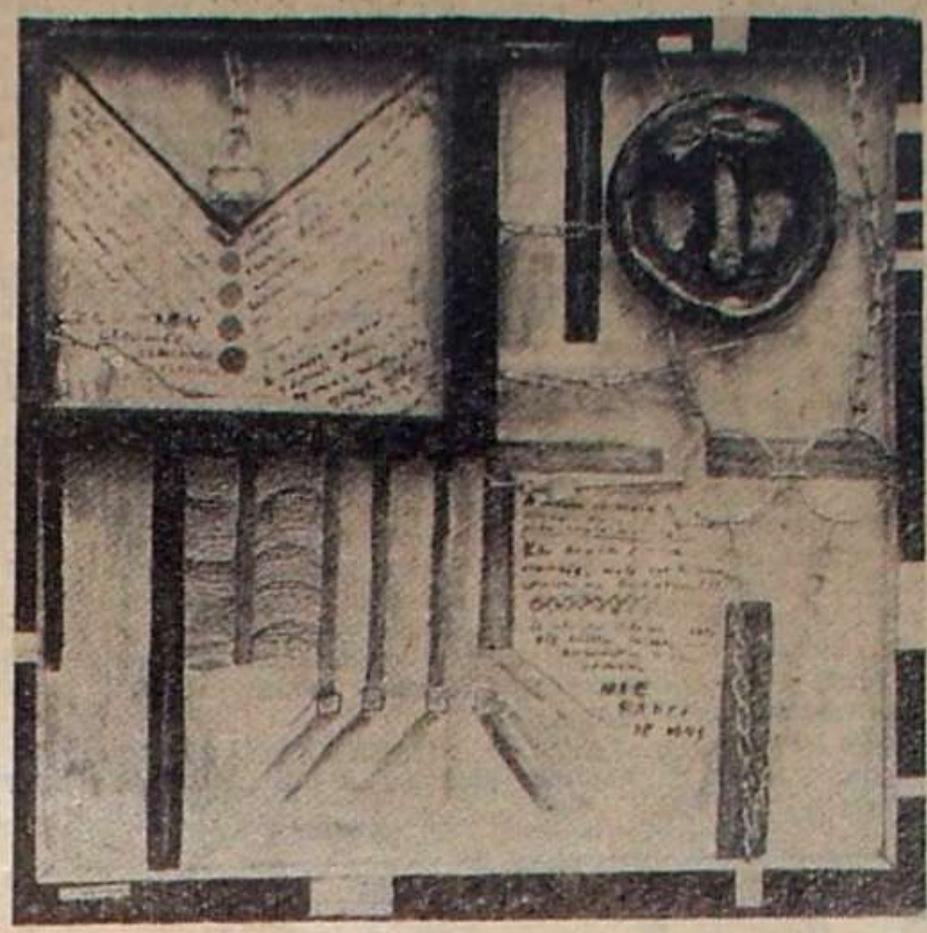

Lubiłam być chora...

Tadeusz Jasiński

WŁAŚCIWIE artykuł ten składać się będzie z wielu truizmów. Ze stwierdzeń oczywistych nie tylko dla fachowców. No, bo jeśli napiszę, że dziecko, że młody człowiek pragnie rodzicielskiej miłości, chce kochać i być kochany... Wstrzymałem pióro i nagle pomyślałem, czy nie powinienem zmienić szyku tego zdania, odwrócić kolejności słów? Może powinienem — w oparciu o materiał, którym dysponuję, o własne i innych spostrzeżenia — napisać raczej: młody człowiek chce być kochany i kochać? Jest to pragnienie wypowiadane przez wielu młodych ludzi, a szczególnie przez tych, którzy próbowali targnąć się na własne życie, ale ich odratowano. Dziewczyna wspomina:

— Najlepiej to lubiłam, gdy byłam chora, bo mama miała wtedy dla mnie sporo czasu, zwolniła się z pracy i opiekowała się mną, dużo ze mną rozmawiała. A już najlepiej, gdy ciężko chorowałam, rodzice wtedy bardzo mnie kochali. Ja ich też bardzo kochałam. Ale potem i mama, i tata znowu nie mieli dla mnie czasu i czułam się samotna.

Co jakiś czas dzwoni lubelski telefon zaufania. Ktoś zrezygnowany i zrozpaczony, wykręca numer 40-100. Dość często przecenia swoje kłopoty. Wydaje mu się, że nikt na świecie nie jest przez najbliższych i życie tak pokrzywdzony, jak właśnie on. Jedyne wyjście widzi więc w przecięciu żył, powieszeniu się lub nadużyciu leków. Podniesienie słuchawek z obu stron gorącej linii jest jednak dobrym dowodem wartości życia. Kto bowiem dzwoni pod wspomniany numer, sam już przecież broni się przed ostatecznym.

Lekarze-psychiatrzy, psychologowie, ludzie różnych specjalności, którzy pełnią dyżury po tej drugiej, niejako ratowniczej, stronie telefonu, nie chcą mi ujawnić swoich nazwisk. Powiadają, że przecież ci, którzy do nich dzwonią w swojej sprawie „być albo nie być", także są najczęściej anonimowi. Niech prawa będą równe! Niektórzy z dzwoniących pozwalają się jednak zaprosić na rozmowy, ujawniają się z dobrej woli i podtrzymują dalsze kontakty. Najbardziej wiąże się z ludźmi telefonu zaufania ta grupa młodzieży, która przedtem dzwoniła i podjęła próbę samobójstwa, albo dzwoniła, a mimo to popadła ponownie w depresję psychiczną i sięgała po żyletkę, po tzw. prochy, albo i sznur. Po uratowaniu poszukiwała kontaktu ze specjalistami od ludzkiej psyche.

Izba Toksykologiczna Oddziału Ostrych Zatruć, jednego ze szpitali lubelskiego Zespołu Opieki Zdrowotnej, udzieliła w minionym roku pomocy, bądź leczenia, kilkuset osobom. Oczywiście nie wszystkie przypadki miały charakter samobójczy, bo przecież „wypadki chodzą po ludziach", niemniej jednak problem istnieje. Gdy zajdzie potrzeba udzielenia pomocy chirurgicznej, trudno niekiedy określić, co jest przypadkiem, wypadkiem, a co usiłowaniem odebrania sobie życia. Bywa, że chłopak, jak to się zdarzyło niedawno w Białej Podlaskiej, zawoła wręcz: — Nie ratujcie mnie, bo i tak nie chcę żyć! Wtedy sprawa jest jasna. Jednak, oczywiście, ratują i młody człowiek jest później szczęśliwy. Czuje się, owszem, zawstydzony wobec rodziny, rówieśników, nauczycieli; często bywa napiętnowany. I wtedy właśnie wykręca numer 40-100, lub wręcz korzysta z adresu, danego mu przez lekarzy Pogotowia Oddziału Ostrych Zatruć, bądź Chirurgii, do Wojewódzkiego Zespołu Ochrony Zdrowia Psychicznego. Tam spotyka nowe koleżanki i kolegów, którzy w określone dni i godziny zbierają się w małym pałacyku, żartobliwie nazywanym przez nich „Strasznym Dworem". Jak długo będą potrzebowali takich kontaktów, jak długo zechcą, będą korzystali z serdeczności tych, którzy przeszli to samo, no i ze współdziałania lekarzy i psychologów.

Kim są ci młodzi, którzy podjęli próbę odebrania sobie życia? Podkreślam, są to wypadki sporadyczne, ale zdarzają się. Przede wszystkim uczniowie szkół średnich, niekiedy wyższych klas podstawówek, czasem studenci. Ktokolwiek pozyskałby ich zaufanie, dowiedziałby się, że przyczyn podejmowania prób odebrania sobie życia jest co najmniej kilka. Z grubsza biorąc wynikają one przede wszystkim z nie dość serdecznych i rozumnych stosunków w rodzinie. Rodzice często sami nie potrafią pomyślnie rozwiązać swoich spraw, więc tym bardziej nie umieją poradzić sobie z dziećmi. Druga przyczyna tkwi w relacji: uczeń — szkoła. Bywa, że pedagog nie może sobie poradzić z trudnym uczniem, ale również zdarza się, że uczeń jest bezsilny wobec przemocy złego nauczyciela. Dopiero na trzecim miejscu, jak się okazuje, przyczyną są problemy wynikające z niepowodzeń w życiu osobistym, uczuciowym. Próby samobójcze są podejmowane przede wszystkim dlatego, że młodzi nie mogą sobie poradzić z tymi konfliktami, czują się osamotnieni, nie mają komu się zwierzyć ze swych kłopotów.

Od tego, jak wychowuje dom i szkoła, jak kształtują się stosunki między rodzicami a dziećmi, pedagogami a uczniami, i także w samym środowisku uczniowskim, zależy niemal wszystko. Oczywiście, jeżeli nie mówimy o osobnikach rzeczywiście posiadających nazbyt wielkie odchylenia od normy psychicznej. Sytuacje rodzinne bywają różne. Dość często zdarza się, że rodzice przedobrzają sprawę. Dzieje się to na zasadzie:

— Myśmy mieli niezwykle trudne życie, poznaliśmy, co to jest ciężka praca lub jej brak, co to jest bieda i poniewierka, niech więc teraz nasze dzieci niczego z tych niedogodności nie zaznają.

I tak już dziecię prowadzone jest za rączkę przez cały okres kształtowania się jego osobowości, z egzaminami wstępnymi do szkoły średniej i wyższej włącznie. Wiadomo jednak, że cieplarniana roślina, gdy ją wyjąć spod szkła, jest niezwykle słaba, łatwo więdnie, załamuje się przy pierwszej lepszej okazji.

Oczywiście, bywają i rodzice, którzy postępują akurat odwrotnie, chociaż stać ich na zapewnienie lepszej młodości potomkom: „Ja też tego nie miałem (miałam) kiedy byłem (byłam) w twoim wieku! Nie dostaniesz i już!" Dzieci zwykle przeceniają materialne możliwości rodzicieli, szczególnie te, które nie są wprowadzone w tajniki domowego gospodarowania groszem i nie znają gradacji potrzeb. Jednak w tym systemie rośnie poczucie krzywdy na tle rozrzutności rodziców ich koleżanek i kolegów, przekonanie, że nie są kochane.

Najlepiej dzieje się w tych rodzinach, które w powoływaniu się na przeszłość ani nie są zbyt szczodre, ani zbyt skąpe.

Młody człowiek musi nauczyć się podstawowej zasady, którą przecież spotka potem i w życiu zawodowym, społecznym oraz osobistym: b r a ć oznacza także d a w a ć, przyjmować, to znaczy i ofiarować coś ważnego od siebie i z siebie.

Jeśli natomiast chodzi o relację: uczeń — szkoła, to należy chyba stwierdzić z całą pewnością, że szkoły podstawowe i średnie oraz zasadnicze nie kochają trudnej młodzieży. Zamiast wychowywać wolą „przerzucać" trudne przypadki do klas zbiorczych, gdzie wtedy dopiero zło się potęguje przez swoje nagromadzenie. Ani dyrekcje szkół, ani wydziały oświaty i wychowania, ani wreszcie kuratorium nie powinny się wstydzić, że mają trudności, powinny się natomiast niepokoić, gdyby ich nie było. Trudnej młodzieży unikają, niestety, także organizacje młodzieżowe i to musi budzić niepokój największy. Jakże piękne pole do popisu mogłyby tu znaleźć, sprawdzić sprawność i przydatność swoich metod wychowawczych!

Ci najsłabsi spośród młodych, którzy nie tylko z własnej winy nie znaleźli sensu życia i pragnęli w jakimś momencie się go pozbyć, mogą okazać się jeszcze ludźmi silnymi. Wielu z nich skorzystało z telefonu zaufania, z danego im przez lekarzy adresu, i znalazło się pod odpowiednią opieką. Ale czy trzeba dopuszczać aż do tego momentu? Czy rzeczywiście dziewczyna powinna tęsknić do dni choroby, bo wtedy rodzice zauważyli, że ich dziecku należą się nie tylko dobra opieka, wyżywienie i ubranie, nie tylko zdawkowe kontakty i małe serdeczności, ale więź duchowa i prawdziwie rodzinna atmosfera? Niektóre dzieci mają wszystko, czego tylko zapragną, a jakże są ubogie! Jakże zazdroszczą nieraz koleżankom i kolegom z tych rodzin, które — być może — muszą się liczyć z wydatkami, ale znajdują dość czasu na przyjaźń, miłość, rodzinność, i tym potrafią wynagrodzić wszystko.

Nadwrażliwość uczuciowa w różnych kierunkach — ta, wynikająca z nadmiernego egotyzmu i egoizmu, jak i ta, wywodząca się z nadmiaru serca — była, jest i będzie cechą młodych. Smutne, że u nielicznej, na szczęście, części spośród nich jest tak mało realizmu, niewiary w możliwość innych rozwiązań, niż ostateczne. W niejednej rodzinie, niejednej szkole powstaje alarm, gdy dziewczyna lub chłopak podejmą próbę i wtedy zaczyna się wzajemne oskarżanie: wina tkwi w rodzinie, wina jest po stronie szkoły! A przecież jest ona w obu tych kręgach. Wrażliwi pedagodzy powinni odczuwać w takim momencie swoją wielką porażkę, gdy spostrzega, że ani jeden spośród całego grona nie został uznany przez ich ucznia bądź uczennicę za powiernika i doradcę. Tak samo, rzecz zrozumiała, muszą pojąć rodzina, środowisko uczniowskie. Od współodpowiedzialności trudno się więc wyłgać, po prostu nie można i nie należy. Uświadomienie sobie tego powinno zmusić do podjęcia sprawniejszych i doskonalszych metod wychowawczych w placówkach oświatowych i kulturalnych, organizacjach młodzieżowych, a także do przewartościowania pojęć o przyjaźni w gronach koleżeńskich. Nade wszystko jednak konieczne jest ocieplenie życia rodzinnego, podniesienie wartości i treści więzi duchowej między domownikami do rangi najwyższej.

Kamena str. 7

PANI NA KUROW

Adam

W KOŚCIELE parafialnym w Kurowie znajduje się piękny renesansowy nagrobek Stanisława Zbąskiego z 1587 r. Układ architektoniczny pomnika jest charakterystyczny dla ówczesnej rzeźby nagrobnej. W prostokątnej niszy, ustawionej na masywnym cokole, spoczywa, na wpół wsparty na poduszce, mężczyzna w sile wieku. Wznoszące się nad niszą belkowanie wypełnia prawie w całości kartusz, w którym położony został następujący wierszowany napis:

Anna z Kurozi Zbąska

Ten ja dom Twemu ciału małżonku jedyny,
Zbudowała dla żalu srogiego przyczyny,
Abych tu, pókim żywa na żałosnym grobie,
Smutek ofiarowała i łzy wieczne Tobie.
Nie dał Bóg abych długo z Tobą żywa była
A spólnie lub złe szczęście lub dobre znosiła
Albo raczej niestety Twą zaległa głowę,
Niż tak osierociałą siebie widzieć wdowę.
Ale gdy tak sam Bóg chciał, by żałosna Twoja
Śmierć prędka, wielki smutek, wielka żałość moja.
Da Pan Bóg Cię tam najdę kiedy Bóg sowito
Uprzejmej cnocie hojne nagradza jej myto.
Smutna małżonka ze łzami położyła roku pańskiego 1587.

Nie wiadomo, czy właśnie ten wiersz w sto lat później nie stał się inspiracją dla pani na Kurowie, Anny ze Stanisławskich, wdowy po podkomorzym lubelskim Janie Zbąskim, do napisania wierszowanego pamiętnika pt. *Transakcyja albo opisanie całego życia jednej sieroty.*

Pani na Kurowie, Anna ze Stanisławskich Zbąska, zajmuje poczesne miejsce pośród pisarzy XVII wieku. Twórczość jej omawiali między innymi Aleksander Brückner, Julian Krzyżanowski, Roman Pollak, Zbigniew Kuchowicz, przede wszystkim zaś Ida Kotowa, która dokonała w 1935 r. krytycznego wydania wierszowanego pamiętnika autorki.

Sylwetka Anny ze Stanisławskich Zbąskiej jest interesująca nie tylko z tego względu, iż była pierwszą samodzielną polską pisarką, ale również dlatego, że poznanie jej życia i dzieła pozwala zorientować się w rzeczywistej pozycji socjalnej ówczesnej kobiety oraz w obyczajach i mentalności warstwy magnackiej XVII wieku.

Urodziła się około 1650 r. Jej ojcem był Michał Stanisławski, wojewoda kijowski, matką zaś Krystyna z Szyszkowskich, spokrewniona między innymi z Zebrzydowskimi. Wcześnie straciła matkę. Po jej śmierci wychowywała się u dominikanek w Krakowie, pod opieką siostry babki, dominikanki, Zebrzydowskiej. W 1668 r., czyli w wieku najwyżej 17 lat, została zmuszona przez ojca i macochę, Annę z Potockich, do zawarcia małżeństwa z kasztelanicem krakowskim Janem Kazimierzem Warszyckim, który był — według słów autorki pamiętnika — *lampartem, to jest świnią, co się sobą delektował.* W 1669 r., gdy małżeństwo nie zostało skonsumowane, przy poparciu hetmana wielkiego koronnego Jana Sobieskiego, który był jej krewnym i opiekunem, uzyskała unieważnienie małżeństwa. W końcu tegoż roku wyszła powtórnie za mąż za Jana Zbigniewa Oleśnickiego, który zmarł w 1675 r. podczas wojny z Turkami. W dwa lata po śmierci Oleśnickiego, w 1677 r., wyszła za mąż po raz trzeci za Jana Zbąskiego, pana na Kurowie, podkomorzego lubelskiego. Trzeci mąż zmarł w 1683 r. z ran odniesionych w czasie odsieczy wiedeńskiej. Po jego śmierci nie wyszła już za mąż, gospodarując samodzielnie znacznym majątkiem. Zmarła wiosną 1701 r., bezdzietnie.

Pani na Kurowie, Anna ze Stanisławskich Zbąska przeszła do historii przede wszystkim dzięki swemu pamiętnikowi pt. *Transakcyja albo opisanie całego życia jednej sieroty.* Utwór ten powstał w 1685 r. jako *żałosne treny* na śmierć jej mężów, których utraciła w wojnach tureckich.

Wszyscy historycy są zgodni, że pod względem wartości ściśle literackich „Transakcyja albo opisanie całego życia jednej sieroty" nie reprezentuje większych wartości. Znakomity badacz kultury Aleksander Brückner pisał: *Wiersze marne, ale ten «koncept białogłowski» — to jedna z najciekawszych rzeczy XVII wieku, przecież to najdawniejszy romans obyczajowy polski.* Właśnie fakt, że autorem dzieła jest kobieta i, że utwór ten jest doskonałym źródłem do poznania ówczesnej kultury obyczajowej — wyznaczyły „Transakcyji..." poczesne miejsce w dziejach literatury polskiej XVII wieku.

Anna ze Stanisławskich Zbąska napisała pierwszy u nas pamiętnik kobiecy. Jakże jest on inny od pamiętników pisanych przez mężczyzn. Gdy ówczesne pamiętniki męskie pełne są wojny, polityki, trybunałów, gospodarki, to „Transakcyja albo opisanie całego życia jednej sieroty" jest pamiętnikiem ściśle intymnym, ściśle osobistym. Jest w nim i miłość, i smutek, i gorycz, słowem — wszystko co intymne, wszystko co osobiste.

Krytycyzm, zmysł obserwacyjny pozwoliły Annie ze Stanisławskich Zbąskiej na plastyczne przedstawienie zarówno kolejnych małżonków, jak i swego otoczenia.

Ojciec i macocha, w dążeniu do umocnienia pozycji rodowej, zmusili Annę do małżeństwa z degeneratem i debilem, kasztelanicem krakowskim Janem Kazimierzem Warszyckim. Ojciec następująco argumentował córce korzyści wynikające z poślubienia Warszyckiego:

Puszcza mu szerokie włości i dość wiele majętności.
W czym zaś rozum nie dochodzi, to Fortuna zaś nagrodzi.
Będziesz wszelką wolność miała, jak pani rozkazowała.
Ja też żadnej krzywdy tobie nie dam czynić, uważ sobie!

Warszycki przerażał Annę brzydotą:

Ni sum z wąsem zapuszczonym, żuraw z karkiem wyciągnionym.

Szokowała ją także jego głupota:

Bo cokolwiek tylko powie, każdy widzi że źle w głowie.

Nowa niespodzianka spotkała pannę młodą w łożnicy. Warszycki, zwany w pamiętniku pejoratywnie Ezopem, zamiast *psować panieństwo* zajął się *łapaniem much i wycieraniem palcem prochów.* Podobna sytuacja powtórzyła się i następnej nocy:

Ezop też już spać odchodzi, — i choć go baba podwodzi,
Coś mu radząc: «Mówże do niej!» a on jej rzekł: «Cóż tam po niej»?
Znowu mu szepce do ucha, ale on tego nie słucha.
Iże się jej nie powodzi, więc za nim z izby wychodzi.

Kapitalne są zwłaszcza opisy, w których Anna przedstawia niedorzeczne postępowanie swego małżonka. Ot chociażby opis jak Ezop chciał spalić kościół, ponieważ go w nim pchły w łydki pogryzły:

Kościołowi nie folguje, także palić rozkazuje.
Leć i ksiądz się nie wybiega: czem z dzwonnikami nie biega

Anna ze
morzyna

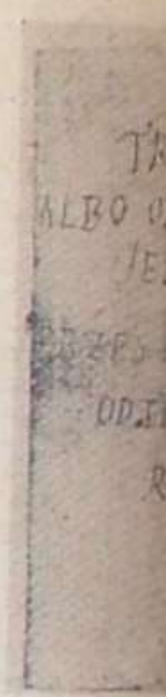

Karta t
Anny ze S

1 CZERWCA – DZIEŃ DZIECKA

PLECIUGA

Kiedy miałem lat trzynaście, więc w 1950 roku, interesowała mnie głównie kopana szmacianka, możliwość nabycia nowych trampek, o które było trudno, powieści indiańsko-kowbojskie, o które było jeszcze trudniej i dzieła pana Marczyńskiego, o które było najtrudniej. Dziś moja 6-letnia córka powiada:

— Tatuniu, mam do ciebie sprawę.

— A jaką masz sprawę, kochanie?

— Czy możesz mi powiedzieć, gdzie leży Sahara?

Tak, tak, dzieci są teraz coraz mądrzejsze, może dlatego, iż nie muszą chodzić do szkoły „pod górkę". Klasa VIa Szkoły Podstawowej nr 31 im. Marcelego Nowotki w Lublinie wydaje rękopiśmienny miesięcznik pt. „Pleciuga". Fragmenty numeru kwietniowego pozwalamy sobie opublikować z okazji Dnia Dziecka w nadziei, że dorośli nareszcie pojmą, iż ich pociechy doprawdy o wiele bardziej interesują się szerokim światem i o wiele więcej zeń rozumieją, niż mogłoby się z pozoru wydawać.

M. Remiszewski

OPOWIADANIE FANTASTYCZNE

DAIRY-5

(odc. I)

PŁYTA kosmodromu oświetlona była ze wszystkich stron jaskrawym światłem reflektorów. Na środku lotniska stał potężny 80-piętrowy statek kosmiczny Pioneer-11. Statek ten miał być wysłany w przestrzeń, aby zbadać nie znaną jeszcze dotąd planetę Dairy-5. Grupa chemików pod kierownictwem Pottera sprzeciwiała się temu lotowi, gdyż twierdzili oni, że tam nie ma przyciągania i nie można oddychać. Zostali jednak przegłosowani przez większość. Właśnie do kosmicznego olbrzyma zbliżała się kilkudziesięcioosobowa grupa ludzi. Była to badawcza załoga Pioneera-11. Załoga Pioneera wsiadła do windy i ruszyła na szczyt statku. Po pół godzinie wszyscy siedzieli w swoich działach. Głośnik zachrypiał:

— Uwaga, 2 minuty do startu!

Padały razkazy, które zostały skrupulatnie wykonane przez załogę. Wreszcie kierownik wyprawy mógł zameldować: — Wszystko w porządku!

Na małym ekranie zaczęły ukazywać się cyferki: 10, 9, 8, 7, 6, 5...

Garry Kent położył rękę na drążku... 4, 3, 2, 1, 0, Start!

Garry z całej siły pociągnął za drążek sterowy i wepchnął gruby bolec.

c.d.n.

„Pleciugę"
M. Remiszew
ski, J. Szlen
wicz.

ZE ŚWIATA

Nową metodę unieszkodliwiania ropy naftowej, rozlewającej się na morzu w czasie awarii statku, opracowano w Stanach Zjednoczonych. W momencie awarii do ropy dodawany jest specjalny środek chemiczny, który zmienia ją w ciało stałe, pływające po wodzie w postaci brył. Zastosowanie tego sposobu chroni morze przed skutkiem zanieczyszczenia oraz umożliwia odzyskanie ropy. Zebrane bryły podgrzane do 85°C zmieniają się znów w płynną ropę.

•

Most długości 14 km oddano niedawno do użytku w Brazylii. Łączy on leżące nad zatoką Guanabara miasto Rio de Janeiro i Niteroi. Most opiera się na 350 betonowych słupach, które wznoszą się 72 m nad poziom wody.

HUMOR

Edison i... furtka

Tomasz Edison był znany z tego, że stale robił jakieś wynalazki. W jego podmiejskim domu było wiele przedmiotów ułatwiających pracę lub pozwalających na oszczędzenie czasu. Pewnego razu jeden z jego przyjaciół narzekał, że furtka do parku otwiera się z wielkim trudem.

— Musiałem wytężyć wszystkie siły, by ją otworzyć — mówił do Edisona.

— Oczywiście — odparł spokojnie wynalazca. Otwierając furtkę, napompowałeś do zbiornika na strychu 30 litrów wody.

...lawskich Zbąska, podko-...

...IE

...drzej Witusik

...a rękopisu pamiętnika ...wskich Zbąskiej.

Po kościele, wyganiając pchły z kościoła, wymiatając:
Że go wszytkiego obsiedli i łydki u nóg objedli.

Po unieważnieniu małżeństwa wyszła Anna za mąż po raz drugi, tym razem za przystojnego, gorąco jej pragnącego Jana Zbigniewa Oleśnickiego. O tym okresie swego życia napisze w pamiętniku:

Toż się ze mną wtenczas działo, bo mi się właśnie widziało,
Żem żyć dopiero zaczęła.

Podobny był jej stosunek do pożycia małżeńskiego z trzecim mężem — panem na Kurowie, Janem Zbąskim.

Anna pragnęła kochać i być kochaną. Najmocniej widać to chyba w opisie zgonu Zbąskiego, którego jedynym marzeniem było widzieć ukochaną żonę:

Przecie miłość nie ustała, która ku mnie dotąd trwała.
Każdego się pyta o mnie, jeżeli posłali po mnie.
Z bratem ledwo się przywitał, a zaraz się o to pytał.
Jeżeli i ja pośpieszę: «niech się z nią jeszcze ucieszę!»

Równocześnie dostrzegała, iż w życiu jest więcej trosk i zmartwień niźli szczęścia i radości. Tak między innymi o tym pisze:

Porachuj każdy swój wiek od młodości, czy nie naliczysz więcej w nim gorzkości,
Niżeli pociech, co się znajdowały; a te, choć były, to niedługo trwały.

Pamiętnik Anny ze Stanisławskich Zbąskiej, wolny od konwencjonalnych frazesów, od przemilczeń i niedomówień, pozwala poznać psychikę, mentalność, kulturę kobiety tego okresu. Kreślony prostym, potoczystym stylem ma charakter poufnych zwierzeń. W tym intymnym pamiętniku zawarta jest niemała cząstka prywatnego, codziennego życia wraz z bogactwem szczegółów cennych dla historyka kultury materialnej, społeczno-obyczajowej, pożądanych także dla powieściopisarza. Stąd prezentacja szerszemu kręgowi czytelników zarówno sylwetki autorki, jak i fragmentów jej dzieła.

W NASZEJ KLASIE VIA

Fot. M. Spóa

OD początku roku działają w naszej klasie kółka i kąciki zainteresowań. Jednym z nich jest kółko rosyjskie, którym kieruje nasza wychowawczyni, pani Anna Margol. Zajęcia w kółku przebiegają bardzo ciekawie i w miłej atmosferze. Odbywają się dwa razy w miesiącu po jednej godzinie lekcyjnej. W tym czasie czytamy rosyjskie lektury, prowadzimy konwersację w języku rosyjskim, przygotowujemy inscenizacje na apele oraz pomagamy sobie w nauce. Do kółka należy prawie cała klasa. W naszej klasie znajduje się również kącik staroci. Zgromadzone w nim stare przedmioty przedstawiają nieraz pewną wartość muzealną. Przechowujemy tu różne stare dokumenty i papiery, np. „kartki żywnościowe" z czasów ostatniej wojny. Dzieci z naszej klasy są bardzo dumne z istnienia tych kółek i poszczególnych kącików zainteresowań, dających nam wiele satysfakcji i zadowolenia. Cała klasa przyczynia się do powiększania naszych zbiorów.

M. Jedziniak

...redagują: ...ski, W. Myśliń- ...lak, D. Hapuno-

...oprac. mp

W 125 ROCZNICE URODZIN

MICHAIL EMINESCU

Ioan Lobiuc

KAŻDY naród ma swoich genialnych twórców, którzy budują „mosty" komunikacji z innymi narodami. Stwarzają oni w ten sposób specyficzne miejsce w świecie kultury, którą reprezentują. W tym roku również i naród rumuński w szczególny sposób czci pamięć swego największego poety — Michaila Eminescu.

15 stycznia minęło 125 lat, kiedy to we wsi Ipoteszty w północnej Mołdawii, w rodzinie drobnego bojara, przyszedł na świat (jako siódme dziecko) Michail, który miał stać się największym przywódcą duchowym swego narodu. Czekało go życie trudne i pełne materialnych wyrzeczeń. Wzrastał w okresie, kiedy panujące klasy reakcyjne — burżuazja i bojarstwo — robiły wszystko, aby w kulturze narodu wymazać ślady rewolucji roku 1848.

W swoim życiu musiał wykonywać najróżniejsze zawody. Wszystko robił jednak z olbrzymią sumiennością. Przemierzył również prawie wszystkie historyczne prowincje Rumunii, dokładnie poznając życie swojego narodu, jego język, wierzenia i obyczaje. Zajmował się również badaniem folkloru.

Studia w Wiedniu i w Berlinie (1869—1874), głęboka i nigdy nie zaspokojona żądza poznania uczyniły go jednym z najbardziej wykształconych w Rumunii. Niestety, zmęczony pracą, wycieńczony nędzą, rozczarowany i duchowo przygnębiony, padł poeta w roku 1883 ofiarą ciężkiej choroby psychicznej, która przysporzyła mu wiele cierpień i 15 czerwca 1889 r. doprowadziła jego życie do kresu...

Eminescu zmarł mając zaledwie 39 lat. Dzieło jego pozostało jednak na zawsze w kulturze narodu — nie tylko rumuńskiego. Jego twórczość w przeciągu 17 lat (1866—1883) uznana została za arcydzieło literatury rumuńskiej. Eminescu zadebiutował, gdy nowoczesna literatura rumuńska kształtowała się pod wpływem romantyzmu, reprezentowanego zwłaszcza przez takich poetów jak D. Bolintineanu i V. Alecsandri. Początkowo młodzieńcza poezja poety była pod wpływem jego poprzedników, wkrótce jednak odnalazł swą oryginalną, jedyną i niezrównaną drogę.

Poeta posiadał również dogłębną i szeroką znajomość filozofii, mitologii (indyjskiej, grecko-rzymskiej, niemieckiej), a także największych literatur świata. Wszystko to przemyślał, tworząc oryginalne dzieło. Dlatego jego twórczość jest przede wszystkim patriotyczna, narodowa i ludowa, jest syntezą tradycji narodowo-ludowych. Zrodziła się z głębokiego i gorącego patriotyzmu, z niegasnącego głodu wiedzy, z potrzeby wyrażania i z doświadczenia jego własnego życia.

Wzorcowa jest u poety koncepcja etyczna, według której twórczość spełnia olbrzymią funkcję społeczną w życiu narodu, a dokonanie aktu politycznego przez artystę-obywatela jest koniecznością. Potężny protest przeciwko ustrojowi jego czasów wyraża się w najbardziej zróżnicowanych formach. W młodzieńczej twórczości bohater liryczny (autor) szuka w samotności prawdy absolutnej, ale też proroczo demaskuje, w zjadliwej satyrze, ludzi z otoczenia („Młodzi przekupni") lub gloryfikuje bunt społeczny („Anioł i demon"). Solidaryzując się z rewolucjonistami Komuny Paryskiej, w poemacie „Cesarz i proletariusz" zachęca otwarcie do obalenia ustroju burżuazyjnego, mówiąc: „Ten straszny, niesłuszny porządek rozwalcie!". Nawet w prozie romantycznej (powieść „Samotny geniusz" i nowela filozoficzna „Biedny Dionizjusz", w której bohaterowie uciekają poprzez filozofię i magię reinkarnacji duchowej ze swego świata) obecny jest konflikt społeczny. Liryczny bohater Eminescu — romantyczny demon, samotny i nie mogący się przystosować — żyje zawsze w dramacie konfliktu między snem a rzeczywistością, między doskonałością a groteską, między świętością a profanacją, wielkością a upadkiem, między pragnieniem osiągnięcia doskonałości a niemożliwością jego realizacji w czasach poety. Te dwa światy nie mogą jednak być zbliżone i jego bohater oscyluje między nimi. Rozważa on sens istnienia ludzkiego, problem życia i śmierci („Mortua est!") itd. Pragnąc poznać przyszłość, zwraca się ku przeszłości i usiłuje rozwikłać tajemnice powstania świata, dokonując długiej podróży poprzez rozległe przestrzenie kosmiczne (jak w wydanym pośmiertnie poemacie „Memento mori. Panorama daremności") i poprzez historie różnych ludów i cywilizacji starożytnych. W Dacji i Rumunii, „raju Karpat", poeta gloryfikuje tradycje walki o wolność i niezależność. Sławiąc poprzedników, krytykuje gwałtownie tych artystów jego czasu, dla których twórczość stała się towarem; wyznaje, znów poprzez kontrast, swój szacunek dla prawdziwych walorów materialnej i duchowej cywilizacji swego narodu.

Jego namiętna miłość do kraju łączy się także z miłością do przyrody i pejzażu. Jest w jego poezji przyroda rumuńska, zwłaszcza mołdawska, przyroda jego dzieciństwa, przyjemna, żywa, goszcząca poetę. Zwłaszcza folklor ma w nim gorącego orędownika. Poemat „Luceafarul" („Gwiazda" 1883 r.), inspirowany przez ludową baśń rumuńską, wyróżnia się mistrzowską doskonałością formy.

Jest prawdą, że w ostatnim okresie pracy Eminescu zdradza smutek i pesymizm. Zachwyt i urok dzieciństwa, radość życia i chwili ustępują miejsca rozczarowaniu, wyrażonemu w satyrze, ironii. Sarkazm sąsiaduje z dytyrambem, jak np. w „Pięciu listach" (1881—83).

Sztuka poetycka Eminescu jest niezrównanym mistrzostwem, osiągnięciem perfekcji we wszystkich uprawianych przez niego gatunkach (poezja erotyczna, elegia, sonet, romanca, poezja w stylu ludowym itp.). Znając praktycznie, ale i naukowo, jak nikt dotąd, język rumuński w całej różnorodności chronologicznej, terytorialnej i społecznej, Eminescu pomnożył walory ekspresyjne i estetykę języka literackiego, nadając mu najpiękniejsze z możliwych ucieleśnień. Swe credo artystyczne najlepiej wyraził słowami: „Prawdziwa, trwała literatura, która podobałaby się nam i byłaby oryginalną dla innych, nie może nie opierać się na mowie żywej naszego własnego narodu, na tradycjach, obyczajach i historii, na jego geniuszu". Z drugiej strony Eminescu całe życie walczył o jedność polityczną Rumunii i o zrealizowanie jednej, połączonej kultury rumuńskiej, opartej na historii ojczyzny i na mitochtonicznych źródłach. Rumuni czczą go jako swego największego poetę, który dał im poprzez swoje dzieło źródło i model myślenia, który pozostawił im ogromną lekcję patriotyzmu. Patriotyczna lekcja jest dziś bardziej aktualna niż kiedykolwiek, gdyż poeta mówił, że „historia jakiegoś ludu — z każdego punktu widzenia — jest zmagazynowana w jego teraźniejszości".

Eminescu jest osobowością podsumowującą całą nowoczesną kulturę i życie duchowe ludu rumuńskiego. I przez ludzi wykształconych z innych krajów jest on uważany za „dowód identyfikacji" narodu rumuńskiego i jego miejsca w skarbcu kultury powszechnej. Największy jego następca, poeta Tudor Arghezi, zauważa, że „będąc bardzo rumuński, Eminescu jest powszechny; wie to każdy, kto czyta: z żalem tylko, że kłódka języków nie może być otwarta obcymi kluczami, ponieważ Eminescu jest samym sobą tylko w języku rumuńskim". Wkrótce po jego śmierci, czyniono liczne próby, mniej lub bardziej udane, tłumaczenia i poznania jego dzieła. Początki robione były najpierw w krajach romańskich. W naszym stuleciu utwory Eminescu tłumaczono, oddzielnie lub w antologiach, w wydaniach jedno- lub wielojęzycznych, w ponad 28 krajach. W Polsce również podejmowano próby tłumaczenia jego poezji. Niestety, jeszcze i dziś stwierdzenie S. Dobrowolskiego z r. 1960, o braku znajomości jego poezji w Polsce, jest aktualne. A warto polskim poetom i miłośnikom poezji zaznajomić się bliżej i szerzej z twórczością Eminescu, żeby przekonać się, że wytrzymuje on porównania z wielkimi lirykami światowej literatury, jak Dante, Shakespeare, Goethe, Puszkin, Mickiewicz, Poe itd.

Tłumaczył: **Maciej Abramowicz**

Autor, wykładowca uniwersytetu w Jassach, wykłada obecnie język rumuński w Zakładzie Filologii Romańskiej UMCS.

Michail Eminescu

DO GWIAZDY

Ta gwiazda, której blask dziś padł,
Tak od nas jest oddalona,
Że trzeba by tysięcy lat,
By światło jej doszło do nas.

Może już dawno zgasła gdzieś
Po drodze w błękicie głębokim,
A promień jej dopiero dziś
Zabłysnął przed naszym wzrokiem.

Zmarłej gwiazdy daleki zwid
Powoli się wznosi nad ziemią,
Żyła, gdy jej nie widział nikt,
Dziś widzim ją, a jej już nie ma.

Tak samo, gdy nasz żar już zgasł
Wśród mroku nocnej otchłani
Dawno zgasłej miłości blask
Jeszcze podąża za nami.

SPIŻOWY DZWON JUŻ

Spiżowy dzwon już wokół wieści północ światu,
Sen, celnik życia, tylko nie chce brać opłaty.
Tutaj, gdzie śmierć i życie plączą się jak cienie,
Na wydeptanej drodze śmierć wabi milczeniem,
Lecz moich myśli waga odpycha wahania,
Między śmiercią i życiem język się nie słania.

Tłum. Stanisław R. Dobrowolski

RETRO WESOŁE I NA CZASIE

Maria Bechczyc-Rudnicka

DOBRZE uczynił Teatr im. J. Osterwy wystawiając ostatnio „Dom otwarty" Bałuckiego, lecz zarazem wyrządził krzywdę moralną autorowi tegoż „Domu...", „Grubych ryb", „Klubu kawalerów" itd. — nie podając w programie do spektaklu ani słówka komentarza. Odkąd pamiętam teatr lubelski, nie było programu tak „ascetycznego": ot — nazwiska reżysera, scenografa, choreografa, kierownika muzycznego, asystenta reżysera, obsada, pracownicy techniczni... i tyle. Jakże dosadnie różni się ten żałosny świstek od solidnego programu Teatru „Wybrzeże" do spektaklu 1971 r. Kierownicy bowiem tej świetnej sceny, Antoni Biliczak, Marek Okopiński, Stanisław Hebanowski, jasno zdawali sobie sprawę z potrzeby przytoczenia paru autorytatywnych wypowiedzi wyznaczających miejsce Michała Bałuckiego w dramaturgii polskiej. Słusznie pisał Boy w latach trzydziestych przy okazji przedstawienia „Klubu kawalerów" (w reżyserii A. Węgierki, mój ty Boże — z Węgrzynem, Grabowskim, Dulębianką, Ćwiklińską!):

Gust do sztuk Bałuckiego był bardzo rozbieżny. Dla jednych były zdrojem szczerej wesołości, drugim zdawały się czymś beznadziejnie trywialnym i płaskim. Ten drugi sąd przeważył; Bałucki zeszedł ze sceny, albo też zjawiał się na niej pokątnie... Ale: *Dzięki współdziałaniu czasu i umiejętnej ręce reżysera, miały komedie Bałuckiego rozpocząć nowe życie... Dawniej na sztukach pana Michała, plebs śmiał się do rozpuku, a subtelniejszy widz krzywił się z niesmakiem; dziś bawią się na nich wszyscy, każdy na swój sposób.*

Michał Bałucki — „Dom otwarty". Elżbieta Święcicka (Pulcheria), Anna Świetlicka (Kamila), Zbigniew Sztejman (Fikalski)

Foto CAF

I ta prawda z roku, bodaj, 1935 jest świętą prawdą do naszego „dziś" lat siedemdziesiątych. Sama byłam świadkiem, jak to na spektaklu „Domu otwartego" teatru na Targu Węglowym w Gdańsku, podczas tzw. sesji wyjazdowej Klubu Krytyki Teatralnej, koledzy krytycy bawili się, wraz z publicznością, znakomicie (choć oczywiście nie bez zażenowania, bo przecie czyż wypada? W epoce awangardyzmu toleruje się raczej wysłanie do Kanady adaptacji „Trędowatej").

Powyższy cytat wyszperałam z Boyowych (nomen omen) „Romansów cieniów". A teraz skorzystam z leżącego pod ręką mądrego programu wspomnianego teatru gdańskiego. Znajdujemy tam pod ogromnie sympatycznym wizerunkiem Michała Bałuckiego taki passus:

Ciekawe jednak, że ten, co za życia widział swój rzekomy zmierzch, Michał Bałucki, trwał nadal, chociaż czeka do dzisiaj na tego, który by wreszcie bez wielu lękliwych zastrzeżeń powiedział wyraźnie, że to komediopisarz znakomity. (JERZY SZANIAWSKI W pobliżu teatru, Wyd. Literackie 1956).

Powiedziało to mniej lub więcej udatnie swymi inscenizacjami wielu reżyserów w Polsce Ludowej, powiedział wyraźnie znakomitym spektaklem w Gdańsku Jerzy Kreczmar, powiedział dobitnie reżyser lubelskiego „Domu otwartego", Józef Słotwiński.

Osobiście, gdy chodzi o lekką a nobliwą pozycję repertuarową, będę zawsze gotowa głosować za Bałuckim i właśnie za „Domem otwartym", w którym widzę moc humoru sytuacyjnego. Powiem więcej — niemałą też aktualność. Jaka bowiem polska cecha bezklasowa powoduje postępowanie dramatis personarum „Domu otwartego"? Mówiąc porzekadłem: „Zastaw się a postaw się". Nie ośmieliłabym się twierdzić, żeśmy tak całkiem zerwali z owym hasełkiem. Wspomnijmy na te wszystkie imieniny, opornie redukowane bankieciki, wiejskie wesela i święta z ich „wielkim żarciem". Oto drobny konkretny przykład: znam pracownicę fizyczną pewnego zakładu lubelskiego. Dorabia praniem, myciem okien, szorowaniem podłóg. Otóż ta zaharowująca się kobieta nie zawahała się wydać 15 000 (słownie: piętnastu tysięcy) złotych na wesele swojej córki.

Taka jest dzisiejsza prawda Bałuckiego, śmiejącego się ze snobizmu przed rozpowszechnieniem się tego terminu.

Józef Słotwiński zrobił z „Domu otwartego" pyszny spektakl. W ogóle Słotwińskiemu bardzo się udają inscenizacje sztuk realistycznych i naturalistycznych (przypomnijmy np. świetne „Szczęście Frania" w TV). Szanując tekst autora, J. Słotwiński adaptuje zręcznie jego utwór przez wprowadzenie przeróżnych odświeżających pomysłów sytuacyjnych. Przykładem szczęśliwej inwencji reżyserskiej jest choćby celne zróżnicowanie córeczek państwa Ciuciumkiewiczów tudzież rozbudowanie ich figli. Reżyser rozruszał te postacie, nie są to już tylko brzydkie panny na wydaniu, zastygłe w beznadziejnym odmawianiu modłów: „Boże, daj męża, daj męża, daj męża!" Czwórka prezentowana przez Barbarę Koziarską, Elżbietę Skrętowską, Bożenę Mrowińską i „trzy gwiazdki", zaraża publiczność swoim rozbawieniem.

Cała obsada została dobrana nader trafnie. Przypomniał się starym widzom Stanisław Maleszewski w roli Franciszka, sługi gderzącego na „wynajętego" młodego lokaja (zdolny *xxx*). W lubelskiej inscenizacji Gustawy Błońskiej (z r. 1947) grał on Bagatelkę. Doczekała się efektownej roli (Pulcherii) piękna i utalentowana Elżbieta Święcicka, która w ciągu ostatnich lat kilku miała nieuzasadnione „przestoje". Udatnie skompletowano potencjalnych tancerzy. Paweł Nowisz przy pomocy zręcznego „fokus-pokus" przedzierzgnął się w nieco podejrzanego seksualnie (zmodernizowanego) Bagatelkę. Witold Zarychta, dostojnie napuszony Malinowski, bawił przejrzystym maskowaniem swego romansu z Pulcherią. Przekomicznie bezczelny był, na przekór swemu nazwisku, Wróbelkowski (Ryszard Pałczyński) i prawdziwą fujarą — Fujarkiewicz (Stanisław Stojko), zrobiony, w akcencie i intonacjach — na kresowca. Ryszardowi Kolaszyńskiemu słusznie powierzono rolę solidnego pantoflarza Ciuciumkiewicza, kontrastowo zaś huraganowego zazdrośnika, Wicherkowskiego, zagrał z wielką brawurą Waldemar Starczyński. Zbigniew Sztejman, jako Fikalski, wodził rej z werwą (mam nadzieję, że się nie obrazi, jeśli wspomnę przy sposobności niezrównanego w tej roli Maksymiliana Chmielarczyka, który przewyższał i wykonawcę gdańskiego). — Żadne zarzuty nie nasuwają się pod adresem Mariana Drozdowskiego, wcielającego się w postać wuja Telesfora (w Gdańsku — Andrzej Szalawski). Bawili na miarę potrzeby: Roman Kruczkowski (pan domu, Żelski) i zakochany narzeczony Adolf (Piotr Suchora). Nie potrzebuję wygłaszać apologii znanej z siły komicznej Niny Czerskiej (Ciuciumkiewiczowa). Urocze były panie: Barbara Wronowska (stateczna pani domu Janina) i Anna Świetlicka (zadziorna Kamila).

Józef Słotwiński przeniósł akcję na początek naszego stulecia, stąd secesyjne wnętrze, potraktowane przez scenografa, Teresę Targońską cum grano salis. Dowcipnie też dobrał muzyczkę Marian Chyżyński. Komizmu dopełniają tańce skarykaturowane przez choreografa Barbarę Fijewską.

OKO-LICE SZTU-KI

Wszystko jedno

KTO dziś pamięta Wojciecha Gersona? Był malarzem, świetnym rysownikiem, pedagogiem, organizatorem życia artystycznego w Warszawie drugiej połowy ubiegłego wieku, bardzo ruchliwym publicystą. W 1855 roku ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu, potem pojechał do Paryża, gdzie jednak zamiast siedzieć w pracowni Cognieta, odwiedzał galerie i muzea, co mu tylko na dobre wyszło. Tamże, nad Sekwaną, dotarł do niego list przyjaciela, Józefa Szermentowskiego, w którym pejzażysta donosił o pojawieniu się w Warszawie zagranicznych handlarzy dziełami sztuki, działających na szkodę miejscowego środowiska. Gerson, człowiek wyjątkowo na sposób polski i obywatelski skrojony, wrócił szybko z Paryża i zaraz potem powstało Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych oraz faktem się stała pierwsza cykliczna wystawa obrazów. Przez długi czas „Zachęta" sprzyjała rozwojowi sztuki, dopiero gdzieś przy końcu wieku zapomniała o swojej dobrej roli.

Kto dziś pamięta i ceni, bierze za patrona i ślęczy nad twórczością Gersona? Nikt, prawie nikt, nawet historycy sztuki jakoś nie kwapią się z metodycznym „natarciem" na nauczyciela Chełmońskiego, Stanisławskiego i Wyczółkowskiego, który idąc za wskazaniem Piwarskiego — lubelskiego zresztą rodaka — zaczął serdecznie, a zarazem sprawnie r o z p o z n a w a ć pejzaż polski. Związały Gersona z tym krajobrazem długie wędrówki w gronie przyjaciół, ze szkicownikiem w dłoni. Najpierw przeszedł Kielecczyznę, bawiąc w wakacje u naczelnika tamtejszego powiatu, Tomasza Zielińskiego, dzielnego kolekcjonera i mecenasa młodych artystów. Potem obejrzał Ojców i jego okolice, a w 1851 r. odbył „podróż piechotną" do Kowna i Wilna — przez jeziora mazurskie. Rok później, statkiem wiślanym, wypłynął w kierunku Zawichostu. „Przeciwko wodzie płynąć trudno, więc i statek, choć siłacz, wolniej płynie, niż za biegiem. Pod wodę 1,5 mili na godzinę upływa, gdy za wodą 4 przeszło — pod wieczór więc dopiero stanęliśmy pod Mniszewem na nocleg" — napisze kilka lat później, ujawniając zresztą przy okazji świetny talent reportażysty. Odwiedził wtedy m. in. Puławy, Kazimierz i Janowiec, gdzie zastał jeszcze 3 piętra krużganków mocnych i ślady fresków, po których, oczywiście, nie ma dziś cienia.

Przebywał ponadto w Lublinie (1853), karetą pocztową wyskoczył do Petersburga, szkicując po drodze, zwiedzał Lwów i zamki w Dzikowie, Krasiczynie oraz Łańcucie. W 1860 r. po raz pierwszy dotarł do Tatr, z którymi już do końca życia nie zerwał bardzo osobistej więzi.

Kto dziś pamięta Wojciecha Gersona, który rywalizował z Matejką, zbierał złote i srebrne medale w Londynie, Wiedniu i Paryżu? Kto pamięta autora błyskotliwie, jeśli tak można powiedzieć, malowanych pejzaży tatrzańskich, który przetłumaczył na polski traktat Leonarda da Vinci o malarstwie?

O animatorze polskiego życia artystycznego w minionym wieku zapomniano dziś z dwóch powodów. Po pierwsze: że namalował sporo ciężkich, pompatycznych płócien historycznych, które wraz z n i e m a l całym tego rodzaju malarstwem dziewiętnastowiecznym zostały zdyskredytowane przez impresjonizm i koloryzm polski. Po drugie: że odważnie, bezkompromisowo bronił własnej koncepcji sztuki, posługując się czasami argumentacją, która m u s i a ł a go ośmieszyć w oczach ludzi z późniejszej frakcji nowoczesnych. Przypomnijmy słynną już wypowiedź Gersona na łamach zainicjowanej przez Balińskiego „Biblioteki Warszawskiej", ukazującej się od 1841 aż do 1914 roku.

W 1890 roku, z okazji pojawienia się w Polsce impresjonizmu, autor „Esterki" stwierdzał z ironią: „Naszym młodym artystom, pp. Panklewiczowi i Podkowińskiemu, podobała się ta nowość. W przekonaniu, że tą drogą dojdą do wyrażania jasności dnia lepiej, uprawiają tę eksperymentację, doprowadzającą ich do absurdów plastycznych. Przekonać by się mogli o tym absurdzie bardzo łatwo, wypadałoby tylko krajobraz wymalowany owymi cętkami odfotografować i porównać go z fotografią tej samej miejscowości zrobioną z natury. Jeżeli ten sposób roboty ma istotnie wielkiej prawdziwości przymioty, obie fotografie będą ze sobą zgodne".

Zrobił ten cytat karierę, spotkać go można niemal w każdej poważniejszej publikacji traktującej o ciężkim losie impresjonizmu w Polsce. A Gersona pogrążył. Nie mogło być zresztą inaczej w czasach akcentujących — teoretycznie i praktycznie — autonomię dzieła sztuki i samego procesu twórczego. Odwoływanie się Gersona do fotografii musiało zostać przyjęte jako odruch skrajnie konserwatywny i anachroniczny. Rzecznicy sztuki strukturalnej — schyłek lat pięćdziesiątych — odesłaliby zapewne autora „Kopernika..." do domu wariatów.

A tymczasem od kilku już lat całkiem bujnie rozwija się na świecie tzw. hiperrealizm, czyli sztuka maksymalnie wiernego przedstawiania świata — w obrazie lub rzeźbie — bardziej dosłowna od naturalistycznie pojmowanej fotografii. Jest to jej istotą i powodem do chwalebnej odrębności. Posiada licznych sympatyków, protestów nie wzbudza. Bo dzisiaj j e s t wszystko jedno, można robić co się komu podoba, można udawać kapłana semiologii nie mając zielonego pojęcia o sztuce poprawnego myślenia, można udawać błazna. Dlatego też trudno hiperrealizm uznać jako argument za czy przeciw Gersonowi.

Ale to w końcu nieważne, bo w moim osobistym przekonaniu Wojciech Gerson broni się sam: swoją wspaniałą aktywnością i sporą częścią twórczości. Zauważą go wówczas, kiedy zdechnie zasada „wszystko jedno", a artysta znów zacznie świat komentować.

IJK

MŁODY LUBLIN POETYCKI

Henryk Makarski

TREŚĆ W KRZYKU SŁOWA

I

w pierwszym programie telewizyjnym usta uroczej pani Wander
wyszeptały komunikat: „zaginęła czysta poezja
wiek około 2000 lat
cechy szczególne – humanizm i prostota
ubrana w zieloną trawę – oszczędna
w słowach
liryczna – ktokolwiek by wiedział o jej
losach
niech powiadomi kogo trzeba".
zaginęła czysta poezja – szukają jej smutni poeci:
w publicznych knajpach – na publicznych dworcach –
w publicznych hotelach
nie ma!
w tajnych kompletach – tajnych melinach – tajnych burdelach
nie ma!
w korzeniach drzewa – u źródła rzeki – w środku kamienia
nie ma!
w załątni nieba – w jaju ptaszęcia – wewnątrz płomienia,
nie ma!
nie ma!!
nie ma!!!
a czysta poezja tymczasem – ze strachu przed kontestacji
:traszakiem
zeszła w myślowe podziemia i – czeka
od kretów mądrych po szkodzie – ucząc się sztuki patrzenia

III

brnę coraz głębiej w tajemnicę słowa
ślepa uliczka jest to czy mokradła
może świadectwo pychy to – nazywać od nowa
stos – który można gładkim gestem nazwać
może grymas ze spiżu jest to śmieszny – albo
żałosny węzeł myśli nie do rozplątania
. . . . . .
a dla mnie jest to roli kawał
którą w bezsenną noc uprawiam
cokolwiek jest to – jest to szczere
szukanie słońca na rozstajach
. . . . . .
gdziekolwiek pójdę
jeszcze krew liryczna
w komórce wiersza
jak w komorze serca
będzie się burzyć

Fragmenty poematu nagrodzonego w konkursie Polskiego Radia i TV w Warszawie na audycję poetycką.

Waldemar Dras

JEŹDŹCY Z NOCY

jeźdźcy z nocy
z pegaza zdjęci świtem
zdawałoby się
dali mi wreszcie spokój

teraz podają ręce
moim znajomym

jednak wieczorem uparcie wracają

mają buty pełne nóg
i bestie pełne siodeł

ręce do ziemi
wiszą jak krawat
jakby nigdy nic

jeźdźcy z nocy
z pegaza zdjęci świtem
boją się historii

wiozą mnie do szpitala bez słowa
rzucając na pastwę
białych ścian

gdy ja tam
oni wracają do mojego pokoju

śmierć gotowa do skoku na życie
czeka już na nich
bez uprzedzenia

Bogusław Wróblewski

*
* *

żonie Małgorzacie

Od tego dnia
każde drgnienie czasu pogłębia
stanowczość naszych uśmiechów
precyzję naszych usiłowań.
Przez chwile prawomyślne
przechodzi się suchym okiem
gdy miłość małomówna
broni zajętych obszarów.

Najprostsze słowa pełnią straż przyboczną.

Dominik Opolski

VIII

Nie bój się tętna, które można wyczuć
w skroniach gipsowego odlewu Maska
pośmiertna potrafi
zbuntować przeciw sobie cały świat
żywych rozparcelować na wspomnienia

Uśmiech: Odwagę warg
jeszcze mówiących – teraz
jakby w zająknieniu, w połowie
słowa atakuje dzwon Język najdłużej
stawia opór w ustach .'owietrze nie
reaguje na bicie serca w spiżowe kamertony:
maskę
pośmiertną trzeba nastroić na ton patetyczny
jak do fotografii: Wyraz twarzy stapia się
z woskiem
świec nagrobnych Ubywa oczekiwań
i błękitu w oczach Pamięć jest już kopią tego
co nastanie – Takie
oskarżenie wkładają pod gips Maska
pośmiertna
znowu stawia mi
pytanie: Kogo
zabiła moja ostatnia godzina? czy ostatnie
uderzenie serca spoliczkowało kogoś?

Tropem krwi mojej
śledzi nas historia Twarz
domaga się wyrazu W obliczu prawa
ciemności kropla rosy
przedrzeźnia martwe czoło...

Fragment poematu

Waldemar Michalski

MIASTO NOCĄ

U brzegu nocy jak pamięć sięga ogrody
arkadia pełna tęczowych mostów
i bram jak wypatroszone łóżka.

Na miejskim forum z fontanną
poeta w bieli
głosi chwałę pełnego dzbana.

Po klasztornych murach srebrem dzwoni
milicjant płaszczy nos do szyby
w neonowych żyłach neonowa krew.

Miasto moje jak Gioconda
zasypia w swoim ulicznym oratorium
i ściany stają się wygodnym łóżkiem.

DRZAZGA

Władysław Huzik

SIEDZI naprzeciw nas, gestykuluje z ożywieniem, sypie dowcipami. Ona także się śmieje. Rozparty swobodnie w fotelu, szarmancki. Zauważył uprzejmie nasze nowe meble, pochwalił funkcjonalność. Naprawdę sporo już osiągnęliśmy, jak na początek. Jesteśmy pewnie zadowoleni i szczęśliwi?

Obiega stolik, aby podać mojej dziewczynie ogień. Przymruża domyślnie oczy i jeszcze raz strzela nienaturalnie płaską, niklową zapalniczką. Uśmiecha się, gdy dziękuje mu pochyleniem głowy. To on otwiera wino i napełnia kieliszki. Przyjacielsko poklepuje mnie po ramieniu.

— Wasze zdrowie! Czemuś taki naburmuszony, mój stary...

Naprawdę zapomniałem, że był kiedyś z moją dziewczyną. Ucieszyłem się szczerze, gdy zadzwonił. Więc nie zaniedbuje przyjaciół. Jak mógłbym mu nie pokazać naszego obecnego życia?

Potrafiliśmy dawniej godzinami przekomarzać się, jak w tej chwili. Ostro sobie docinaliśmy, śmiejąc się z tego serdecznie. To prawda. Ale są przecież jakieś granice. Nie powinien kpić z tego, że biednie jeszcze mieszkamy. Nie na miejscu są jakieś aluzje... Widzę, z jakim przymusem uśmiecha się moja dziewczyna. Patrzy na mnie bezradnie, zagryza wargi...

Więc okazuje się, że jest tutaj z nami. Po tym wszystkim. Pomyśleć, że podziwiałem bezczelność, z jaką potrafi się wszędzie wcisnąć. Opowiada o swoim barwnym życiu, dalekich podróżach i przygodach, sypie beztrosko imionami sławnych ludzi. Dawniej nie złościły mnie jego łgarstwa.

— Nasze marzenia, pamiętasz? Popatrz, mój stary, ile to lat?...

We własnym przekonaniu zrealizował wszystkie „wspaniałe plany". Nie zatrzymał się w miejscu; jego czas nie odmierza się terkotliwym dźwiękiem budzików. Tego jeszcze brakowało, aby zaczął się nad nami rozczulać. Za wiele sobie pozwala.

— Wynoś się stąd! — słyszę nagle swój głos. — W ogóle możemy się nie widywać, ani nie poznawać na ulicy. Tak będzie dobrze. Mam dosyć twojego chamstwa. Wrócisz, o ile cię znam...

Nie rozumiem jeszcze, dlaczego tak właśnie musiała się zakończyć jego wizyta. Ale nie mogłem dłużej czekać. Skończyć z tym. Niech już sobie pójdzie. Niech tego nie powie...

Patrzę na niedopitą kawę, na popiół rozsypany na stoliku. Jak pusto nagle w naszym domu. Nie jestem pewien, po raz pierwszy nie jestem pewien — czy ona...

— Nie wytrzymałabym dłużej — mówi moja dziewczyna. — Nie mogłam tego znieść...

Potem wieczór upływa swoim zwykłym rytmem. To nawet przerażające — jak zwykłym. Zostawił jednak coś.

Więc wszystko wtedy było podobnie, bo to w ogóle może być tak. Od samych tylko tkliwych słów wilgotniały wargi, napływały krwią... Patrzyła na niego tak samo uważnie, oczy jej zmieniały kolor, zapadały w głąb twarzy, ściągniętej w przedziwny grymas. Jej śmiech — jeszcze go nie słychać — narastał w krtani, by wybuchnąć nagle, rozsypać się po poduszkach, wmieszać w jej włosy...

„On był z moją dziewczyną..."

Dotykał jej.

Przecież wiem, że to nie jest ważne. Tak odległe. Ale wydaje mi się czasem, że odnajduję ślady rąk na jej skórze — te miejsca są bardziej chłodne. Nie mogę tego zetrzeć.

— To boli... — mówi dziewczyna stężałymi wargami. Dopiero teraz unosi powieki. Ona wie. Tylko smutek widzę w jej oczach. Oszukiwaliśmy dzisiaj oboje.

— Dlaczego to zrobiłaś? — pytam.

— Mówiłam ci już...

— Mówiłaś.

— Byłam wtedy bardzo zmęczona. Poparzona słońcem. Nie wiedziałam przecież, że będziemy razem. Tak długo nie wracałeś.

— Ja wiedziałem. Nie uwierzyłem mu, kiedy to wszystko opowiadał. Przyjaciel. On często kłamał. Nawet ciebie nie pytałem.

— To przeci nie jest ważne. Ale musiałam ci powiedzieć. Nie mogłam w niczym oszukiwać.

— To chyba lepiej.

— Co?

— Lepiej, że wiem.

— To był po prostu zły dzień. Ten nasz pierwszy...

Leżymy obok siebie, dotykając się ramionami. Tylko mała lampka pali się w naszym pokoju — od jej światła zmieniają barwę ściany i przedmioty, zmienia barwę jej skóra i nawet nasz szept staje się od niego cichszy. Nasze spojrzenia przecinają się gdzieś w powietrzu, wysoko ponad naszymi głowami. Wiem o tym i przenosimy ten punkt w pobliże naszych twarzy. Wtedy — za każdym razem na nowo — uderza mnie, jaka jest piękna.

„On był z moją dziewczyną..."

Wystarczy przesunąć palcem — skóra tak samo pod dotknięciem tamtych rąk wydawała delikatne trzaski, napływała elektrycznością. Wystarczy dotknąć — piersi nabrzmiewają wtedy i żebrzą o pieszczoty. Wargi stężałe w przedziwnym półuśmiechu odsłaniają nagie zęby.

— Słuchaj...

— Tak?...

— A to, czy też było tak?

— Nie, nigdy. Nigdy tak nie było...

— Powiedz...

— Skąd, wariacie...

— A to? Nie działało.

— Nieee!... — krzyczy dziewczyna i wypręża się ku mnie. Oczy ma już właśnie nieprzytomne, zadymione. Przecież wiem: pewnych rzeczy nie można udawać, ani kłamać. To szaleństwo. Tylko ta świadomość...

Mam ochotę krzyczeć triumfalnie. Wpółotwarte usta mojej dziewczyny, jej ramiona, narastający w krtani matowy i szorstki krzyk.

Nareszcie n i c nie jest ważne.

— Powiedz... — pytam.

Kamena str. 11

„...oto muzea nowej wrażliwości”

ADAM Zagajewski należy do poetów, którzy u progu działalności pisarskiej porzucili to, co zwykło się nazywać „poetyckością”. Rzecz nie polega na zerwaniu z „ładnością”, użyciu słów, które mogą wywołać zgrzyt. „Sprawa Zagajewskiego” polega na konsekwentnym eliminowaniu wyrazów zbędnych, usztywniających niepotrzebnie wypowiedź, zacierających treść. Debiutancki tom nosił tytuł „Komunikat”. Trudno o bardziej adekwatną nazwę. Nie oznacza to wcale, że już wtedy (1972 rok) Zagajewski mówił to, co obecnie czy w tym samym kształcie.

W „Komunikacie” zawierała się literackość występująca w innym wymiarze. Utwory tam zawarte częstokroć bezpośrednio (bądź pośrednio) wyrażały program poetycki, polemizując z istniejącymi w obiegu formułami. Obok innych zakresów, ściśle literackim polemikom poświęcone były między innymi wiersze: „Poeta I”, „W pierwszej osobie liczby mnogiej”, „Nie czytajcie Jastruna”, „Artyści”, „Język”, „Poeta II”, „Młodzi poeci”, „Rafał Wojaczek ojczyzna ziemi”. Zrozumiałe to było, gdy poeta artykułował własny sposób wypowiedzi, tym bardziej, iż rzecz nie ograniczała się do samego sporu literackiego. Choćby w argumentach pojawiała się wcale nie upiększana rzeczywistość przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, mieściły się również założenia filozoficzne poetyki. Podsumowując, można powiedzieć, że mimo wszystko „Komunikat” mówił o tym „jak” a nie o tym „co” poeta ma do powiedzenia. Jest to oczywiście wniosek grubo uproszczony i, w pewnym sensie, krzywdzący nawet autora „Państwa Platona”.

Czy to znaczy, że w „Sklepach mięsnych” *) literackość jest całkowicie wyeliminowana? Nie. Jestem nawet przekonany, iż w ogóle wyeliminowana być nie może, możliwe jest dążenie do jednoznaczności, nie jednoznaczność, dążenie do prostoty — nie prostota. W tym miejscu zawsze pojawi się coś takiego, jak wyrafinowanie. Podobnie ma się rzecz ze „Sklepami mięsnymi”. Pomińmy tu związek ze „Sklepami cynamonowymi” Schulza, chociaż nie jest nawet tak bardzo przypadkowy („święty z Drohobycza”). Ale co zrobić z wierszem „Czytelnicy poezji apelują”?

Czytelnicy poezji apelują o światło
widoczne w wierszach o zegar o drogę
która cicho na palcach nie deklamując
Majakowskiego posunie się naprzód
Matki proszą o gwiazdę nadziei dla swych synów
którzy rozpoczęli życie od utraty wiary

We fragmencie pojawia się wszystko, co zwykliśmy zaliczać do sfery literackości. Jest tu „poezja”, są „czytelnicy”, jest wreszcie demiurg-echo-rewolucji Majakowski, którego imienia lepiej nie nadużywać. Na najbliższym planie jest to literackość, dalej wychodzimy ku sprawom bardziej ogólnym:

Czytelnicy poezji powinniście pomóc poetom
Poezja świeci odbitym światłem
Matki poetów płaczą nad tym samym morzem
Rodzina poety przenosi się do innego miasta
Poeci mówią tak głośno że skóra ich twarzy
peka jak rękawiczka
Czytelnicy poezji pomagajcie poetom
Zawieście w waszych domach wypukłe lustra
Zakładajcie podręczne biblioteki serca

Poeta nie ma być demiurgiem — ma odbijać czas i problemy społeczeństwa, w którym żyje. Poza granice tu nakreślone nie wyjdzie. Jeżeli centralnym problemem będzie fizjologia istnienia, nie może się zajmować w tym „momencie przede wszystkim psychologią czy też filozofią. Pozostając w zgodzie z Marksem, dopowiada w tym fragmencie Zagajewski myśl Hegla: „Poezja świeci odbitym światłem”. Wyjaskrawioną przesłanką takiego ustawienia roli poezji jest wiersz „Nieśmiertelność”:

nasi wielcy bracia spalani przez
natchnienie pozwalali się portretować
w Paryżu dzisiaj gwiazdy szkolnych antologii
i autorzy cytatów które uzasadniają
każdą niesprawiedliwość

Bywało przecież, iż imię Mickiewicza znajdowało się na sztandarach przeciwnych sobie orientacji, a nie jest to przecież wypadek jedyny.

Urodzeni w ostatnim dniu wojny
nie znają jeszcze sztuki podwójnej miłości

Obowiązek, w miarę możliwości spełniany, nakazuje dać świadectwo prawdzie, a nie radosnej czy też ponurej wizji. Prawda zawsze będzie miała charakter otwarty, wymagający współpracy aktywnego odbiorcy:

Niech cię nie uspokaja poezja
nie czytaj jej lepiej i tak nie masz czasu
to czas ma ciebie trzyma cię w garści
w szponach jeśli jest ptakiem

„Świat nie przedstawiony” — książka programowa, której współautorem jest Zagajewski, zajęła wysoką lokatę wśród kandydatur do dorocznej nagrody „Drożdży”, przyznawanych przez „Politykę”. „Sklepy mięsne” w żadnym wypadku nie stanowią supplementu do tego wydawnictwa. Wizerunek świata (nie tylko najbliższego) uzupełniają, trafiając w centralne problemy teraźniejszości. To, że „Sklepy mięsne” nie podają papki gotowej do konsumpcji, jest oczywiste. Oczywiste jest również, że o ile „Komunikat” wydawał się być adresowany do krytyków i poetów różnych generacji, to „Sklepy mięsne”, od nader prozaicznego tytułu poczynając, są adresowane do czytelnika, którym, jeżeli wrażliwość dopisze, może być każdy. Każdy znajdzie dla siebie nowe wartości, nie znajdzie jedynie bezpośrednich relacji z lektur. „Muszą wystarczyć” relacje z przeżycia i przemyślenia.

Stanisław Jan Królik

*) Adam Zagajewski: „Sklepy mięsne”, Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1975, str. 48.

KATALOG CZASOPISM LUBELSKICH

BADANIA nad dziejami czasopiśmiennictwa lubelskiego uwieńczone zostały w minionym roku pięknym sukcesem wydawniczym. Obok monografii Alojzego Leszka Gzelli poświęconej prasie lubelskiej w okresie trzydziestolecia PRL, otrzymaliśmy „Katalog Prasy Lubelskiej” w opracowaniu Haliny Wolskiej, z udziałem Marii Gawareckiej, Zofii Jasińskiej i Witolda Nowodworskiego. Katalog zawiera zwięzłe i usystematyzowane w układzie alfabetycznym informacje o czasopismach wydanych w woj. lubelskim (niekiedy związanych tylko tematycznie z województwem, mimo innego miejsca wydania), przechowywanych w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. H. Łopacińskiego, w Bibliotekach Uniwersyteckich UMCS i KUL oraz w kilku innych mniejszych księgozbiorach. Oprócz czasopism sensu stricto znalazły się w nim publikacje ciągłe: kalendarze, informatory, sprawozdania z działalności, a także jednodniówki o charakterze pism ulotnych. Katalog ukazuje ogromne bogactwo lubelskich publikacji periodycznych i wydawanych nieregularnie, nadto wydawnictw okolicznościowych: 791 tytułów oznaczonych numerem kolejnym oraz kilkanaście z numeracją dodatkową. Właściwą część informacyjną uzupełniają liczne odsyłacze, indeks osób, miejscowości i instytucji sprawczych i tzw. „indeks chronologiczny”. Ułatwi on znacznie dalsze badania nad historią prasy lubelskiej, odda też nieocenione usługi osobom korzystającym ze zbiorów czasopism jako cennego źródła do badań regionalnych. Należą się więc wyrazy uznania zarówno jego autorom, jak też dyrekcji Biblioteki im. H. Łopacińskiego i Zarządowi Okręgowemu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, ich bowiem inicjatywa i poparcie finansowe umożliwiły publikację.

Dokładniejsza lektura wydawnictwa obok słów uznania, nasuwa jednakże szereg uwag i wątpliwości, które świadczą o potrzebie stosowania szerszej konsultacji podczas przygotowania do druku tego typu informatora. Przede wszystkim niezrozumiałe jest pominięcie najbogatszych polskich księgozbiorów: Biblioteki Narodowej i Jagiellońskiej. Słuszne stwierdzenie autorów na s. 6, iż „Nie było możliwe w ich warunkach (...) uwzględnienie zbiorów bibliotek w całej Polsce”, nie może usprawiedliwiać rezygnacji badania dwóch bibliotek, których zasoby mają przecież charakter wyjątkowy. Czytelnik ma prawo oczekiwać informacji o czasopismach lubelskich w jednej i drugiej bibliotece, lub przynajmniej ogólnego ich omówienia.

Podobna uwaga dotyczy biblioteki Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie, której wykorzystanie podniosłoby znacznie wartość informacyjną katalogu. Gromadzone w niej przez wiele lat różne publikacje ciągłe jako uzupełnienie źródeł rękopiśmiennych, są niezwykle pomocne w badaniach nad historią społeczno-gospodarczą Lubelszczyzny XIX i XX wieku. Pobieżny tylko przegląd katalogu ujawnia 10 nowych, cennych tytułów z tego księgozbioru, m. in.: „Obzor Ljublinskoj Gubernii”, rocznik, 1890—1912; „Obzor Sedleckoj Gubernii”, rocznik, 1887—1911 (zawiera wiele informacji do historii północnych powiatów woj. lubelskiego — Białej Podlaskiej, Łukowa, Parczewa, Radzynia i Włodawy); „Dziennik Urzędowy Województwa Podlaskiego”, tygodnik, organ Komisji Województwa Podlaskiego, od roku 1837 zm., tyt.: „Dziennik Urzędowy Guberni Podlaskiej”, 1829—1839; „Rocznik Międzyrzecki”, red. dr Marian Kowalski, t. 1—4, 1969—1972; „Zbiór obowiązujących rozporządzeń Komisarza Ludowego na pow. łukowski”, R. 1919 nr 1—25 itd.

Oprócz nowych tytułów w bibliotece archiwum naliczyłem 16 pozycji, których stan zachowania jest pełniejszy od zbiorów wszystkich bibliotek lubelskich. Aby nie nużyć czytelnika podaję tylko krótkie opisy najważniejszych, z zachowaniem numeracji omawianego katalogu: nr 95 — Budżet miasta Lublina, 1918—1940; nr 140 — „Dziennik Zarządu Miasta Lublina”, 1921—1939; nr 170 — „Gazeta Ludowa”, całość 1915—1917; nr 314 — „Kurier Lubelski”, całość z roku 1866; nr 316 — „Kurier Lubelski”, tyg., całość 1915—1916; nr 318 — „Kurier Lubelski”, dziennik, całość 1932; nr 433 — „Pamjatnaja Knižka Ljublinskoj Gubernii”, 1870—1914; nr 765 — „Ziemia Krasnostawska”, całość 1921—1926; nr 771 — „Ziemia Zamojska”, całość 1920—1928. Wymienione czasopisma są skatalogowane i w pełni dostępne.

Niezależnie od postulatu dotyczącego uwzględnienia w katalogu tytułów nowych godny rozważenia jest również problem selekcji materiałów. Autorzy nie wypowiadają się ekspressis verbis, czy stosowali określone kryteria wyboru, a lektura nie daje na to jednoznacznej odpowiedzi. Osobiście wypowiadam się za pomijaniem tytułów pozbawionych waloru szerszej informacji dla czytelnika, a więc wszelkiego rodzaju informatorów o nabytkach bibliotecznych, pojedynczych biuletynów przeznaczonych raczej do użytku wewnętrznego instytucji oraz wielu mało istotnych w treści jednodniówek.

Na koniec wreszcie kilka uwag na temat rozpoznawania czasopism i ustalania ich tytułów. Nie można zgodzić się z opisem nr 137, z którego wynika, że kontynuacją wychodzącego w okresie zaborów 1818—1867 „Dziennika Urzędowego Województwa Lubelskiego” (zmienionego w kilka lat po upadku powstania listopadowego na „Dziennik Urzędowy Guberni Lubelskiej”), jest ukazujący się w okresie międzywojennym pod tym tytułem organ Urzędu Wojewódzkiego Lubelskiego oraz w Polsce Ludowej „Dziennik Urzędowy Wojewódzkiej Rady Narodowej”. Obecny opis sugeruje, że mamy do czynienia z rekordem ukazywania się czasopisma od roku 1818, jeśli moglibyśmy zaufać autorom, byłby to rekord nie tylko w skali ogólnopolskiej. Należy więc wyjaśnić, iż ów „Dziennik” przestał się ukazywać w roku 1867, w związku z przekształceniem organów administracji w Królestwie Polskim wg wzorów obowiązujących w imperium. Równocześnie (a nie w roku 1895, jak podano na s. 56) powstaje nowy organ władz gubernialnych: „Ljublinskija Gubernskija Vedomosti”, tygodnik. Od roku 1895 wydawano nadto pod tymże tytułem dziennik zawierający tzw. „część nieoficjalną”. Podkreślanie w tym miejscu znaczenia cezur 1918, 1939, 1944 i 1950 roku dla wydawnictw urzędowych, wydaje się zbędne.

Franciszek Cieślak

PAMIĘTNIK GLOBTROTERA (9)

SIEDEM nocy i tyleż dni pieściłem jej ciało. W łóżku jadłem i piłem, a tylko wychodziłem za własną potrzebą. Po siedmiu dniach zapłaciłem Włoszce 40 dolarów, a za napoje i jedzenie przez siedem dni — 25 dolarów. Tak więc ogółem kosztowała mnie ta przyjemność 65 dolarów.

W tym dniu, jadąc dorożką ze swoim bagażem do portu — miałem zamiar udać się do Rzymu — zostałem zatrzymany przez karabinierów, następnie po przesłuchaniu przewieziony promem na wyspę Lipari. Tutaj umieszczono mnie w obozie UNRRY. W obozie tym, który mieścił się w starym klasztorze, na samej górze wyspy Lipari, przebywali ludzie różnej narodowości; czekali oni na wyjazd bądź do swego kraju, bądź też do innego.

Dwa długie miesiące wiłem się jak w klatce, czyniąc różne próby ucieczki, lecz zawsze zostałem schwytany.

Pod koniec lipca 1949 r. zgłosiłem swój wyjazd do Polski. Dość miałem włóczęgostwa, a polską mowę już koślawiłem. Postanowiłem twardo wracać do kraju.

Z Sycylii przyjechałem do Rzymu, gdzie w ambasadzie polskiej załatwiłem sobie wszystkie papiery wyjazdowe i z początkiem sierpnia 1949 r. pędziłem pociągiem do Triestu, a stamtąd do Wiednia, Pragi i do Polski. W drodze do Wiednia spotkałem kilku Polaków, jadących w tym samym wagonie. Zainteresowali się oni szczególnie moim przebraniem. Kiedy opowiedziałem im, że byłem w Texasie i że wracam do Polski, to jeden z nich odparł: „Pan jedziesz tam, skąd myśmy uciekli”. Tak mnie postraszyli, że postanowiłem wysiąść w Wiedniu.

Z wszystkich pieniędzy pozostało mi około 250 dolarów. W Wiedniu zatrzymałem się kilka dni ażeby rozważyć swój dalszy los. Postanowiłem udać się do Hamburga, gdzie zamierzałem złapać jakikolwiek statek płynący w kierunku Ameryki.

Granicę z Austrii przeszedłem nielegalnie, a stamtąd pociągiem pędziłem do Hamburga. W Hamburgu po kilku dniach udało mi się poprzez konsulat brytyjski zakotwiczyć na angielski tankowiec „Cherrywood” w charakterze grisera.

Statek płynął na holenderską wyspę Curacao. I znów Ocean Atlantycki, później Morze Karaibskie i wreszcie wyspa. Tutaj bez żadnych przeszkód zszedłem na ląd i taksówką udałem się do dzielnicy zabaw, gier, restauracji oraz miłosnych igraszek. W małych pięknych domkach, których tutaj było mnóstwo, mieszkały damy sexu. Ta, która nie była zajęta, siedziała przed swoim domkiem na miękkim stołeczku, w skromnym i nęcącym przebraniu. Przechodząc koło tych różnej maści piękności napawałem się ich widokiem, a później, nie mogąc już dłużej zwlekać, wybrałem jakąś Metyskę.

Przez cztery dni odwiedzałem te domki i przez cztery dni gasiłem pragnienie...

Kolejny nasz kurs to Panama. W drodze pomału i skrycie zacząłem przygotowywać się do ucieczki. Do małej walizki spakowałem najlepsze swoje rzeczy, resztę odzieży musiałem pozostawić na statku.

I w ten sposób we wrześniu 1949 roku dobiłem po raz drugi do kontynentu amerykańskiego.

W Panamie spotkało mnie największe nieszczęście: kiedy wracałem od przygodnej damy zostałem napadnięty przez dwóch czarnych drabów, którzy doszczętnie oczyścili mnie z pieniędzy, nie pozostawiając przy duszy ani jednego centa.

Dalej musiałem wędrować pieszo. Walizeczkę przewiesiłem przez ramię i żwawym krokiem ruszyłem do granicy Kostaryki. Początkowo droga ze stolicy Panamy była gładka i asfaltowa. Obok drogi z małymi przerwami ciągnęły się pasma dziewiczej roślinności. Później asfaltowa droga urwała się, ja również zwolniłem tempo. Zaczęło się już ściemniać, kiedy zmęczony doszedłem do jakiejś lepianki. Ludzie na ogół gościnni i małomówni, może dlatego, że byłem białym człowiekiem?

W chacie ugoszczono mnie fasolą i fortillami, był to rodzaj placków. Noc przespałem na macie z trzciny.

Następnego dnia szedłem dalej. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, ciągnęły się pasma albo piaszczystych terenów porośniętych karłowatymi krzewami i kaktusami o różnych gatunkach, albo rozśpiewana i brzmiąca tętnem życia dżungla. Nagle w oddali usłyszałem warkot silnika, a następnie ukazał się willis. Tym willisem jechał jakiś biały człowiek, na którego widok podniosłem rękę dając znać, ażeby się zatrzymał.

Pozdrowiłem nieznajomego w języku angielskim i zapytałem, czy mógłbym się zabrać.

Człowiek ten był z pochodzenia Niemcem, swoją angielszczyznę mieszał z niemieckimi wyrazami, a kiedy usłyszał że i ja mówię po niemiecku, natychmiast kazał mi siadać. W drodze opowiedziałem mu o spotkanym nieszczęściu i o celu swojej podróży.

Do miasta David zajechaliśmy w samo południe. Niemiec zaprosił mnie do siebie do domu, gdzie spożyłem spory posiłek. Później udzielił mi wiele niezbędnych informacji oraz podarował dobrą mapę.

KSIĄŻKI NADESŁANE: WYDAWNICTWO „CZYTELNIK"

PROZA

Konstanty Paustowski — Dalekie lata, tłumaczenie Jerzego Jedrzejewicza, wydanie VI, stron 358, cena 30 zł; Karol Dickens — Samotnia, tłumaczył Tadeusz Jan Dehnel, 1975 r., wydanie I, stron 1030, cena 36 zł; Jan Papp — Wózek pełen bólu, przełożył Andrzej Gordziejewski, 1975 r., wydanie I, stron 180, cena 15 zł; Ryszard Kapuściński — Chrystus z karabinem na ramieniu, wydanie I, stron 130, cena 15 zł; Ireneusz Iredyński — Manipulacja, wydanie I, stron 182, cena 18 zł; Jacek Bocheński — Sto koni do stu brzegów, 1975 r., wydanie II, stron 203, cena 20 zł; Jacek Bocheński — Boski Juliusz, 1975 r., wydanie V, stron 173, cena 18 zł; Władimir Sawczenko — Odnajdziesz się sam, tłumaczyli: Grzegorz Abgardowicz i Józef Meszaros, 1975 r., wydanie I, stron 410, cena 32 zł; Per Gunnar-Evander — Ostatni dzień w życiu Wallego Hedmana, przełożył Zygmunt Lanowski, 1974 r., wydanie I, stron 110, cena 11 zł; Weselin Andrejew — Epos partyzancki, z bułgarskiego tłumaczyli: Maria Wieckowska i Adam Koseski, posłowiem opatrzył Adam Koseski, 1975 r., wydanie I, stron 432, cena 32 zł; Denne Bart Petitclerc — Sprawa honoru, z angielskiego tłumaczyła Anna Przedpełska-Trzeciakowska, 1975 r., wydanie I, stron 267, cena 25 zł; Alain Robbe-Griller — Zaluzja, z francuskiego przełożyła Maria Zenowicz, 1975 r., wydanie I, stron 135, cena 20 zł; Maria Dąbrowska — Przygody człowieka myślącego, tom I i II, 1974 r., przedmowa Anny Kowalskiej, przygotowanie tekstów z rękopisów Ewa Korzeniowska, wydanie III, stron 810, cena 60 zł.

POEZJA

Adam Mickiewicz — Wiersze, wydanie VI, str. 450, cena 20 zł; Konstanty Ildefons Gałczyński — Liryka i groteska, wybór Natalii Gałczyńskiej, 1975 r., stron 280, cena 32 zł; Małgorzata Baranowska — Miasto, 1975 r., wydanie I, stron 65, cena 15 zł (debiut).

Odpowiedzi redakcji

A. B. Lublin. Opowiadanie historyczne nie polega na przytoczeniu realiów. Nie jest tym lepsze im ważniejsze i bardziej udokumentowane przedstawia fakty. Zawsze musi być jakaś idea ludzka, która leży u podstaw zamierzonego dzieła i tylko ona je porusza. Inaczej po wrażenia artystyczne można by sięgnąć do podręcznika historii.

W. B. Hrubieszów. Antologia poezji lubelskiej na wzór np. wydanej niedawno rzeszowskiej? Pare już było. W 1939 roku opracował taką ksiądz Ludwik Zalewski, po wojnie wyszedł „Wybór wierszy poetów lubelskich", następnie po raz drugi ukazała została poezja międzywojennego dwudziestolecia, wydane są wiersze o Lublinie, wychodzą tomy poezji ludowej z wieloma lubelskimi autorami. Ale właściwie sama zasada kompozycyjna w tego rodzaju wydawnictwach jest dość wątpliwa. Czy mają to być wiersze autorów lubelskich, którzy choćby na krótki czas w naszym mieście się znaleźli? Strasznie wielu w ten sposób naliczylibyśmy „lublinian". Wiersze tematycznie z Lublinem związane? Kwestia: czy wystarczy w tekście nazwa kozielo grodu, by utwór uznać za lubelski? Wiersze autorów rdzennie lubelskich? Nie wszyscy o swoim mieście pisali, więc lubelskość tych utworów okaże się problematyczna. Antologie tematyczne — owszem. Geograficzne — sprawa bardzo dyskusyjna. Ale może z samego powodu do dyskusji nie zaszkodziłoby skorzystać? W tym z pewnością ma Pan rację.

T. O. Wrocław. Niestety jestem innego zdania. Powodzenie na estradzie nie wystawia świadectwa wartości wiersza. Ileż czynników spoza tekstu obejmuje prezentacja estradowa! Oświetlenie, plastyka miejsca, dykcja, gest, dźwięk, umiejętność podania, nawet liczebność widowni. To wszystko składa się na jakość widowiska, a zapisuje się na konto utworu poetyckiego, bo od niego otrzymuje tytuł pozycji w programie. Nie mówimy, że podobał się efekt wizualny towarzyszący recytacji. Mówimy, że podobał się wiersz. A jeszcze dochodzi w podobnych ocenach i ta pomijana okoliczność, że mamy do czynienia z żywym słowem, z żywym człowiekiem, który swoim (niekiedy udanym) zaangażowaniem „uwierzytelnia" tekst. W dodatku niech to będzie lubiany (a) aktor (ka)! Ręce same się rwą do braw. To wszystko wspiera utwór literacki do tego stopnia, że nawet całkiem sobie mierny może otrzymać aplauz. Czy dobrzy aktorzy nie zagrają słabego dramatu znakomicie? Jak głosi legenda, słynna polska aktorka Helena Modrzejewska do łez wzruszała publiczność francuską licząc od jednego do stu.

Szyfrogram literacki (nr 11)

		1	2	3	4	5		6	7	8	9		10	11	12	13	14
15		16	17	18	19	20		21	22	23	24	25	26		27	28	29
	30	31	32	33	34			35	36	37		38	39	40	41	42	
43	44	45	46	47	48	49	50	51	52		53	54		55	56	57	58
59	60	61		62	63	64	65			66		67	68	69		70	71
	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83		84	85	86	
87	88	89		90	91	92		93	94	95	96	97	98	99	100		
101	102	103	104	105	106	107		108	109	110	111	112		113	114	115	116
117		118		119	120	121	122	123	124		125	126	127	128	129	130	137
		132	133	134	135	136	137	138	139		140	141	142	143	144	145	

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu litery na miejsce odpowiadających im liczb i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza współczesnego polskiego poety, którego imię i nazwisko utworzą ostatnie litery pierwszych 11 wyrazów pomocniczych. Czarne pojedyncze kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze

25, 39, 32, 16, 5, 29 — leśniczówka, w której tworzył Gałczyński.
140, 101, 82, 91, 13 — paznokieć drapieżnika.
35, 137, 95, 55, 17, 2 — pięknie kwitnący krzew.
42, 47, 10, 71, 40, 86, 31, 100, 44 — powieść B. Czeszki.
123, 28, 142, 107 — towarzysz czterech pancernych.
1, 15, 37, 81, 61, 6 — wymówka, kłamliwe tłumaczenie.
18, 87, 14, 20, 43 — coś z runa leśnego.
59, 124, 48, 12, 22 — elekcja.
19, 3, 64, 7 — kobza w innych stronach.
60, 139, 72, 30, 34, 111, 23 — atrybut dawnej kobiety.
69, 131, 79, 93, 33 — chwast z ładnym kwiatem.
133, 51, 135, 132, 27, 74 — utwory muzyczne ze słowami.
53, 36, 94, 58, 138 — łuska i pocisk.
99, 21, 143, 76, 145, 52 — podoficer w oddziale Wołodyjowskiego.
122, 11, 136, 114, 126 — dziura.
50, 45, 54, 57, 144, 141, 116 — naczynie do wody na herbatę.
120, 56, 46, 96, 127, 84, 78, 63 — akordeon.
92, 128, 85, 62, 109 — jedyne jadowite węże w Polsce.
90, 102, 4, 134 — worki przewożone na zwierzętach.
121, 106, 119, 67, 88 — Donizettiego ...z Lammermoor.
26, 130, 89, 97, 80, 110 — wkład we wspólne dzieło.
113, 117, 68, 77, 104 — posąg.
8, 98, 112, 49, 75 — eskimoska łódź.
73, 65, 105 — w ustach.
41, 108, 118, 103 — przełożony klasztoru.
115, 66, 83, 70, 129 — ograniczone jedzenie.
9, 38, 125, 24 — autor „Nedzników".

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 9:

Poziomo: ponton, dysk, Kórnik, oko, oda, krew, sens, kora, Oslo, mak, Gobi, Noskowski, Andersen, Pelper, osa, Racine, Br, Ra, Ob, rym, dab, przedsiębiorca, sos, Karłów, mecz, takt, urok, opas, koc, makler, Ryki, Hrabia.
Pionowo: parkan, tura, nosotwór, do, Koźmian, kaskader, ring, kanion, kres, komiks, Solski, kona, Poprad, Antoni, emocja, wyraz, Broniewski, rab, Herbert, lump, Odgłosy, Artek, rektor, brzuch, tłum, Saul, zima, ar.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 9 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Krystyna Kujawa, ul. Spokojna 9 bl. 1/42 85-838 Bydgoszcz; Janina Grzegorczyk, wieś Felin, 22-354 Stryjno, pow. Krasnystaw; Kazimierz Piluś, Wronowice, 22-546 Turkowice, pow. Hrubieszów; Paweł Zawisza, Aleja Wyzwolenia 56, 22-200 Włodawa.

listy do kamieny

DOMY DZIECKA

Proponuję, aby redakcja przeprowadziła zwiad reporterski w kilku Państwowych Domach Dziecka na Lubelszczyźnie. Znam co nieco te placówki i mam poważne wątpliwości, czy prowadzona w nich praca wychowawcza stoi na odpowiednim poziomie. Mam również zastrzeżenia co do gospodarzenia środkami materialnymi, które państwo przeznacza na utrzymanie dzieci.

Maria Teodor
Chełm Lub.

DLACZEGO?

Dlaczego po przyjściu do restauracji II kategorii w Lublinie muszę słuchać bitowego wrzasku, który dobywa się z magnetofonu kasetowego leżącego na sąsiednim stoliku, okupowanym przez młodego człowieka w czarnym garniturze, zielonej koszuli i różowym krawacie we wzorek a'la kocie mordki? Zasłuchał się, meloman, z nikim i niczym się nie liczy, sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. A kiedy proszę pokornie o ściszenie strasznego ryku, człowiek ten patrzy na mnie z ogromnym zdziwieniem, absolutnie n i e r o z u m i e j ą c o o co chodzi tej paniusi.

Dlaczego w kawiarniach, na przystankach komunikacji miejskiej, w pociągach i parkach muszę słuchać wstrętnych przekleństw młodych i już dojrzałych biologicznie typków płci męskiej, coraz częściej wspomaganych przez dziewczęta i kobiety?

Dlaczego w drodze do pracy muszę narażać się na wybrudzenie kiecki, albowiem ktoś tam, przyodziany w kombinezon jakby nie siedział w autobusie lecz w hali fabrycznej, uważa, że człowiek pracy ma prawo do brudnego ubrania, „a jak się komu nie podoba, to niech taksówką jeździ?"

Dlaczego taksówkarze wywieszają w samochodach groźne ostrzeżenia: „Nie palić w obrębie miasta", a sami kurzą, nie pytając pasażera o zdanie?

Dlaczego?

Janina Gawrońska
Lublin

SŁONA URODA

Wysiłki Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz ZPAP, mające na celu uruchomienie w Polsce rynku artystycznego, zaczynają przynosić oczekiwane skutki. Nie tylko instytucje, lecz i osoby prywatne zaczynają kupować dzieła sztuki, również — obrazy, grafiki, rzadziej rzeźby, co zresztą zrozumiałe. Zręcznością swoich poczynań reklamowych i organizacyjno-handlowych, co idzie w parze z wysokością obrotów, zdaje się w tej dziedzinie przodować galeria „Dexy" Zapiecek w Warszawie. Wydaje się przecież, że i w Lublinie coś się rusza na lepsze, mimo że wbrew starym już obietnicom PSP nie otworzyło salonów ekspozycyjno-sprzedażnych. Daje przecież do myślenia fakt zamawiania portretów u niektórych malarzy. Najwięcej zleceń zebrała podobno pewna plastyczka z Warszawy, której wystawę — ciekawą zresztą — mogliśmy niedawno oglądać w sklepie „Plastyka" przy Krakowskim Przedmieściu. Wśród zamawiających byli i przedstawiciele wolnych zawodów, i oficerowie.

I w tej sytuacji pojawia się nowy cennik na dzieła sztuki, bardzo wyraźnie podnoszący honoraria autorskie. Nie wiem, czy sprzyjać to będzie dalszemu rozwojowi prywatnego mecenatu, na którym powinno nam szczególnie zależeć. To prawda, że w stosunku do cenników obowiązujących w bratnich krajach socjalistycznych — polski był najskromniejszy. Ale czy to poważny argument za zmianą sytuacji?

Adam Popława
Lublin

KOBIECY JEDYNAK?

Chciałbym podzielić się z czytelnikami „Kameny" spostrzeżeniem drobnym, ale ciekawym. Otóż przeglądając niedawno rejestr uniwersytetów świata, ze zdumieniem zauważyłem, że tylko UMCS nosi imię kobiety! Na domiar wszystkiego 76 proc. słuchaczy tej uczelni stanowią kobiety. Może to i sympatyczne, ale czy racjonalne?

Jan Chwałkiewicz
Warszawa

Chcesz terminowo otrzymywać „KAMENĘ" zamów prenumeratę

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 18 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe. Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1273. 16.V.75 r. K-4.

Numer łamali: Mieczysław Psujek i Jan Goździuk, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurdy

Nr indeksu: 36406/3625

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 (uwaga nowy numer!); polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

PRO DOMO NOSTRA

Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy obchodzimy każdego roku. Dla nas, ludzi żyjących pisaniem, (do jakich zaliczam literatów i dziennikarzy) te majowe dni są zawsze swego rodzaju świętem. Jednak na przekór nastrojom świątecznym chcę zająć się jednym z aspektów twórczości dziennikarskiej „od strony kuchni" — sprawa rzetelności formalnej w naszych publikacjach. Swoje spostrzeżenia na ten temat opieram na lekturze lubelskich dzienników — „Sztandaru Ludu" i „Kuriera Lubelskiego".

Rzetelność formalna rozumiem jako obowiązek formułowania informacji prasowych zgodnie ze stanem wiedzy ogólnej. Obojętne, czy dotyczy to stanu wiedzy o literaturze, historii, geografii, czy też matematyce, technice, lub jakiejkolwiek innej dziedziny. Do tej rzetelności naszych dziennikarzy trzeba, niestety, mieć niejedną pretensję. Jak to pokaże poniżej, harce dziennikarskiego pióra na papierze powodują niekiedy skutki, które w języku współczesnej młodzieży określa się terminem „wciskania ciemnoty".

Zaręczam, że daleki jestem od rezonerstwa. Uderzając w cudze piersi muszę zacząć od siebie, bo w ciągu 27 lat pracy dziennikarskiej dorobiłem się niemałych doświadczeń. Niektóre z nich budzą we mnie pretensje do samego siebie i własnego warsztatu twórczego. Do dziś np. zżymam się, że w imię oryginalności użyłem kiedyś słowa „kęsim", chociaż chodziło mi o „kismeth". Po prostu zdarzyło mi się, że właściwego słowa zapomniałem, a zależało mi na nadaniu tytułowi swego artykułu oryginalnego brzmienia. I chociaż w tym wypadku "kismeth" polegał na „kesimie", to przecież całe to zdarzenie odżywa we mnie przykrą refleksją. Mimo okoliczności łagodzącej znaczenie nieścisłości, nie sądzę, aby takie wyjście z sytuacji było zgodne z kanonem rzetelności formalnej wobec czytelników gazety.

Powiedzmy sobie, że potknięcia tego typu zdarzają się nawet dziennikarzom o niewątpliwym talencie pisarskim i takiej samej erudycji. Jeden z naszych kolegów, z całą pewnością zasługujący na uznanie za jego publicystyczną twórczość, w swoim zagranicznym reportażu pisał o „dromaderach", które rzekomo oglądał w kraju, gdzie żyją tylko wielbłądy dwugarbne. Tenże sam autor, skądinąd zręcznie nawiązując do Sienkiewicza, napisał: .....w tej samej Końskowoli, gdzie panu Zagłobie tak smakowało piwo...", chociaż nie trzeba być erudytą żeby pamiętać, że pan Zagłoba wyraził o tamtejszym piwie wręcz ujemną opinię. Znamienne, że identyczny błąd zdarzył się również innemu z lubelskich dziennikarzy.

Jak się okazuje, niezliczone pułapki zastawia na naszych dziennikarzy historia. Np. jeden z naszych „kolegów pisał o miejscowości Gołąb i poniesiony przez dygresję historyczną przypomniał, że .....Stefan Czarniecki koło Gołębia odniósł zwycięstwo nad Szwedami..." Tymczasem nawet w oparciu o Sienkiewicza powinien wiedzieć, że ze zwycięstwem Czarnieckiego było w tym miejscu niewyraźnie, historia zaś określa tę bitwę jako porażkę dzielnego wodza. Nie zapomnę też chyba, jak inny z naszych kolegów w sprawozdaniu z przebiegu uroczystości w Stoczku podobnie utonął w odmętach historii, pisząc o bitwie pod Stoczkiem, w której .....kościuszkowscy żołnierze zdobywali działa rękami czarnymi od pługa..." Podwójnego błędu tego sformułowania niestety nie spostrzegł redaktor dyżurny, wskutek czego czytelnik został przez nich również wtracony „w odmęty historii". Myślę, że po przeczytaniu tego sprawozdania Krakusi z korpusu gen. Dwernickiego rozznieśliby naszych kolegów „na szablach i kopytach".

Można też cytować błędy z innych beczek. Z polityki? Proszę bardzo: według „Sztandaru Ludu" skrót IRA oznacza Irlandzka Partie Republikańska. Z ekonomii politycznej? — W jednym z dziennikarskich komentarzy o tarciach w EWG można było się doczytać przykładu eksportu makaronu z Włoch, chociaż głodne Włochy nigdy nie miały zamiaru wyzbywać się tak im potrzebnych artykułów żywnościowych. Z matematyki? — Reporter „Kuriera" bez mrugnięcia okiem napisał, że „Zorza" może przy pomocy swej kabiny fotograficznej obsłużyć 1000 klientów zamawiających zdjęcia „trzyminutówki", chociaż przy pracy przez 24 godziny na dobę można takich zdjęć — jak wskazuje proste wyliczenie — zrobić tylko 480.

Osobną niwę pełną ostu błędów stanowią krzyżówki zamieszczane w naszych dziennikach. Stale powtarza się np. definicja e k s k l a w y odniesiona do e n k l a w y, która przecież określa się inaczej. Rzadko mi się zdarza, żebym w diagramie krzyżówki nie wykrył żadnego błędu, chociaż niektóre dziedziny wiedzy są mi zupełnie obce i moje rozeznanie odnosi się tylko do części krzyżówkowych haseł.

Przykłady tego rodzaju błędów mogłbym mnożyć bardzo długo, ale skończmy na tym. Dla poprawienia samopoczucia zawodowego dodam, że podobne nierzetelności zdarzają się nawet naukowcom — wziętym specjalistom. Np. w jednej z licznie wydanych po wojnie encyklopedii można się doczytać, że wołyńska rzeka Turia, to graniczna rzeka Lubelszczyzny, zaś o Kobylance, głośnej bitwa powstańców 1863 r., pisze się jako o miejscowości, chociaż jest to tylko lokalna nazwa leśnego uroczyska.

Swojego rodzaju szczytem było dla mnie zdarzenie z telewizyjnej Wielkiej Gry, w której omyłkę uczestnika turnieju wsparł naukowy autorytet rzeczoznawcy. Tematem był znów Sienkiewicz, pytanie zaś brzmiało: „Jak miał na imię pan Zagłoba?" Egzaminowany odpowiedział, że „Onufry", rzeczoznawca poparł odpowiedź, a jak się później okazało, był o tym przekonany także Kazimierz Wichniarz grający rolę Zagłoby w filmie „Potop". Egzaminowany zaznaczył, że w całej „Trylogii" imię Zagłoby jest podane tylko raz, co również znalazło uznanie rzeczoznawcy. Faktycznie w „Panu Wołodyjowskim" Zagłoba figuruje na transparencie powitalnym jako Onufry, ale umieszczony tam dwuwiersz można traktować tylko jako „licentia poetica". Natomiast w czehryńskiej gospodzie Zagłoba przedstawia się osobiście: .....Jan Zagłoba, herbu Wczele..." I chociaż zdarzyło się to w „Trylogii" tylko raz, to ten moment trzeba brać za podstawę do ustalenia imienia polskiego Falstaffa. Zapomniał o tym egzaminowany, zapomniał rzeczoznawca, więc co teraz? Powinni obaj zwrócić zarobione pieniądze?

Spróbujmy jednak wyciągnąć jakiś praktyczny wniosek z tych spraw „pro domo nostra". Proponuję, aby lubelska RSW „Prasa", przy swym Ośrodku Dokumentacji Prasowej powołała na próbę — choćby tylko na miesiąc — komórkę badawczą publikacji miejscowej prasy. Może w porozumieniu z UMCS. Po to właśnie, aby ktoś odpowiednio przygotowany przeczytał od deski do deski każdy numer „Sztandaru Ludu", „Kuriera Lubelskiego" i „Kameny", wyłowił wszystkie potknięcia i zestawił je w specjalnym, np. tygodniowym biuletynie. Będzie to chyba kapitalna pomoc dla dziennikarzy i kolegów redakcyjnych w ustalaniu własnych słabych stron, bez czego trudno o podnoszenie własnego poziomu i poziomu gazet. Będzie to również solidny doping do pogłębiania przez dziennikarzy swojej wiedzy, bez czego rzetelność formalna publikacji prasowych będzie zawsze szwankować. Ale... czy można wierzyć rzeczoznawcom?

Leszek Siemion

BUŁGARSKA KUCHNIA

W każdym numerze „Bułgarskiej Panoramy" duże zainteresowanie wzbudza rubryka pt. „Bułgarska kuchnia". Wydaje się, że niektóre dania warto szerzej spopularyzować.

(Red.)

KEBABCZETA

Najsmaczniejsze są kebabczeta przygotowane z jagnięciny lub mięsa jagnięcego i cielęcego w proporcji pół na pół. Około 3/4 mielonego mięsa, jedną średnią cebulę drobno usiekaną, łyżeczkę utłuczonego kminku, sól do smaku, dobrze wyrobić dodając do mięsa filiżankę od kawy zimnej wody.

Z przygotowanej masy formujemy kebabczeta (wałki długości 5 cm niezbyt grube). Kebabczeta układamy na gorącym wysmarowanym uprzednio oliwą ruszcie. W czasie pieczenia obracamy je kilkakrotnie. Podajemy gorące z dodatkiem szczypioru, natki pietruszki, sałatką z pomidorów, gotowaną fasolą przyprawioną na ostro, lutenicą.

KARP Z ORZECHAMI

Produkty: 3 kg karpia, 1 kg cebuli, 20 dkg oleju, 10 dkg masła, 30 dkg orzechów, 3 pomidory, 5 dkg przecieru pomidorowego, 10 dkg rodzynków, 2 dkg białego wytrawnego wina, sól, pieprz, pietruszka.

Sposób przyrządzenia: Obieramy cebulę i kroimy w plasterki. Dusimy ją na oleju i maśle. Dodajemy przecier pomidorowy i trochę wody. Zdejmujemy cebulę z ognia i dodajemy orzechy, grubo usiekane, rodzynki, starte na tarce pomidory i drobno pokrajaną natkę pietruszki, sól i pieprz do smaku. Takim nadzieniem napełniamy jamę brzuszną karpia, zaszywamy ją nitką. Rybę solimy z wierzchu i pokrywamy krążkami pomidorów obranych uprzednio ze skórki. Karpia kładziemy do brytfanny wysmarowanej masłem, zalewamy winem i pieczemy 1 godzinę w umiarkowanie gorącym piekarniku.

SAŁATA Z BAKŁAŻANÓW

Produkty: 2 bakłażany, 3 pomidory, 5 zielonych strąków papryki, 10 dkg oleju, 2 ząbki czosnku, pęczek pietruszki, sól.

Sposób przyrządzenia: Bakłażany i strąki papryki pieczemy w piekarniku. Obieramy ze skóry i czyścimy z nasion i ogonków. Bakłażany zanurzamy na parę minut w zimnej wodzie. Kroimy drobno jarzyny i ucieramy je na gładką masę. Dodajemy obrane ze skórki i starte na tarce pomidory, utłuczony czosnek, sól i drobno pokrajaną pietruszkę. Rozbijamy masę z olejem. Sałatę podajemy ozdobioną cząstkami świeżego pomidora i gałązkami zielonej pietruszki.

MAKRELE MARYNOWANE

Czyścimy i starannie myjemy 1 kg świeżych makreli. W naczyniu gotujemy ocet zmieszany z wodą, solą z dodatkiem kilkunastu ziaren pieprzu, kilku ziaren ziela angielskiego i 1—2 liści laurowych. Gdy marynata zagotuje się, wkładamy do niej makrelę i gotujemy do miękkości... Po ugotowaniu rybę wyjmujemy z marynaty i układamy w słoiku. Raz jeszcze zagotowujemy marynatę i po ostudzeniu zalewamy nią rybę. Z wierzchu makrele zalewamy oliwą.

ZUPA ZIEMNIACZANA

2—3 marchewki i kawałek selera ucieramy na tarce jarzynowej. 1/2 kg kartofli kroimy w drobną kostkę i gotujemy razem z jarzynami. Nieduża cebulę smażymy z 10 dkg słoniny. Dodajemy łyżeczkę mąki, ząbek czosnku i wlewamy zasmażkę do zupy. Po dodaniu zasmażki zupę gotujemy jeszcze 15 minut doprawiając do smaku solą i pieprzem. Podajemy posypaną natką pietruszki.

KREM POMARAŃCZOWY Z TWAROGIEM

25 dkg słodkiego twarożku rozbijamy trzepaczką z 1/4 kg słodkiej śmietanki lub mleka i 4 czubatymi łyżkami cukru-pudru. Ubijamy, dopóki masa nie stanie się puszysta i lekka. Dodajemy następnie wyciśnięty sok z 1 pomarańczy i otartą skórkę z pomarańczy. Podajemy w pucharkach, ozdobionych cząstkami pomarańczy.

Witold Zechenter

FRASZKI

W KRAINIE SCEPTYKÓW

Gdy słyszę różnych niedowiarków
narzekania liczne,
sądzę, że by się u nas przydały
jakieś środki antysceptyczne.

SYTUACJA W KRYTYCE LITERACKIEJ

Wśród kumoterskiej znajomków
rui,
gdy klik przeróżnych wzrasta
rój,
już nie klasyczne „magna pars
fui",
lecz trzeba rzec: magna pars FUJ!

GŁOSY ARTYSTÓW

Niejeden w sztuce desperat
w pustkę śle swój dezyderat.

SEX-EPOKA

Modnej golizny fotograf
działa jak czuły epoki sejsmograf.

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

Nasza powieść rozwija się dalej. Właśnie Michał przekomarza się w dziale miejskim Gazety z Porzeczkowskim. Mirka prosi o spotkanie w „Dziurze".

(8)

Korzycki wyszedł z pokoju i znów zadzwonił telefon. Porzeczkowski wziął do ręki słuchawkę.

— Pyta pan kto wygrał VI Wyścig Pokoju? A skąd ja mogę wiedzieć, czy ja jestem chodzącą encyklopedią sportową?... Jaki dział sportowy? Tutaj dział miejski... To niech pan zatelefonuje za pół godziny, przyjdzie kolega od sportu... Do widzenia.

— Wściec się można z tymi kibicami! — dodał już do Michała. — Ludzie się zakładają i później my mamy być ostatnią wyrocznią. Przecież tutaj nie można zupełnie pracować! Kto wpadł na pomysł, aby pożenić dział miejski z działem sportowym?

— Jest to chyba najlepsze małżeństwo doskonałe. Pracownik działu miejskiego powinien być znakomitym długodystansowcem... Cholernie gorąco. Macie coś zimnego do picia?

— Kranówkę. W całym mieście jest tylko kranówka.

— To od czego wy jesteście? Działajcie, przecież wściec się można w tym upale!

— A co? Mamy założyć fabrykę wody sodowej? A swoją drogą nasi kochani handlowcy znów zdali egzamin „celująco". Prezydent Lasa powinien zwołać kolejną naradę. Już wiem, jak ona będzie wyglądać.

— Ja bym przetrzymał handlowców przez pięć godzin w dusznej salce i nie postawił ani jednej butelki.

— A ja bym ich jeszcze przedtem poczęstował śledziami w śmietanie, które sprzedaje nowy pawilon na Lipkowej. Wezmą słone śledzie, niewymoczone, dodadzą trochę cebulki i czegoś w rodzaju śmietany i sprzedają po 32 złote za kilogram. Raz się dałem nabrać. Wystarczy.

— Słuchaj, a czy dział nie może zainicjować kampanii, aby w naszym mieście produkować kwas chlebowy? Tyle pieczywa marnuje się w sklepach. Nasi sąsiedzi zza Bugu mają znakomite doświadczenia. Czy nie warto z nich skorzystać?

— Mnie się pytasz? A co ja mam tutaj do powiedzenia? — Porzeczkowski machnął zrezygnowany ręką. — Kiedy nareszcie będziemy mieli studium telewizyjne? Chętnie bym się przekwalifikował.

— Jeszcze trochę poczekasz. Ale teraz powinieneś zacząć batalię o wodę.

— Może jeszcze o zimną, z bąbelkami? W reprezentacyjnej restauracji „Codzienna" dają ci coca-colę ciepłą, jak wdówka na wydaniu. Tłumaczą się, że im lodówki wysiadły. Mamy za wielu dyrektorów, kierowników i czort wie kogo jeszcze, a potrzebni są zwykli konserwatorzy.

— W ramach reorganizacji będzie można niektórych spośród dyrektorów wysłać do nowych województw.

— Chyba po naukę. Ale wiesz, to jest znakomity temat dziennikarski: policzyć, ilu mamy kelnerów, kucharzy, pomocy kuchennych itd., a ilu pracowników gastronomicznej administracji.

— Musielibyśmy mieć własną wtyczkę, te dane są pilnie strzeżone.

— Wysłaliśmy Hankę Czaplę, by pracowała w charakterze salowej, można ją teraz ulokować na pewien czas w gastronomii. Dziewczyna ma głowę i do picia.

— A kto z nas nie ma? Nabrało się kiedyś praktyki na różnych konferencjach prasowych. Oj, byli dyrektorzy, którzy serwowali dobry koniak!

— Przesadzasz! Nie miałem szczęścia, zwykle trafiałem tylko na kawę z paluszkami, a zdarzało się, że i kawy nie było, a jedynie herbatka.

— I dziesięciostronicowy referat dyrektora. Dyrektorzy umieją robić statystyczne cuda! Jak się nie znasz na rzeczy, to tak cię wykołują...

— O właśnie! „Życie Warszawy" doniosło o nadużyciach w Polskim Związku Motorowodnym. Utworzyli fikcyjne delegatury, organizowali na papierze szkolenia działaczy, instruktorów, sędziów, urządzali zawody, płacili za benzynę do nieistniejących motorówek, ba — jeździli pociągami do miejscowości, które jeszcze nie mają połączeń kolejowych! I w ten sposób nakradli masę pieniędzy, półtora czy dwa miliony złotych. Samo „Życie" nie wie, bo raz pisze dwa, a raz półtora.

— A potem dziwimy się, skąd ludzie mają forsę na samochody, wille i wyjazdy na Wyspy Kanaryjskie. — Michał westchnął. — A tu człowiek zastanawia się, za co pojechać na wczasy...

— Do Domu Dziennikarza w Złotych Piaskach, prawda? Nie przesadzajmy z tym narzekaniem. — Porzeczkowski spojrzał na zegarek. — Miło mi się z tobą gada, ale, jak się nie mylę, masz spotkanie w „Dziurze". Minęło właśnie pół godziny od telefonu twojej pani. Leć, bo będziesz miał awanturę.

— O, do diabła! Faktycznie, zagadałem się co nieco. Ale czasami trzeba sobie to i owo powiedzieć.

— Rzeczywiście. Niczego to wprawdzie nie zmieni, ale człowiekowi jakoś lekko robi się na duszy.

— No to pożycz jeszcze słówę. Spłukałem się na delegacji. Co to jest, że do każdej muszę dopłacać?

— Korzystaj z barów mlecznych. Masz tutaj nowego Waryńskiego. Kiedy oddasz?

— Za kilka dni. Czekam na lewe honorarium.

— A naczelny pozwolił ci pisać gdzie indziej?

— Coś ty głupi? Będę się pytał? Podpiszę pseudonimem i nikt nie będzie wiedział, że Ikziński to właśnie ja.

— Dopóki nie przyjdzie przekaz z pieniędzmi. Żadna gazeta nie płaci za ładne oczy.

— Nie płaci? A przejrzyj warszawskie popołudniówki. Co jest u nas, czy w „Expresie" to wszystko tam możesz potem znaleźć w nieco innej, krótszej wersji. Zżynają na potęgę.

— Nie przesadzaj. Wszystkiego nie zżynają. Sprawozdań z naśladówek na przykład tam nie uświadczysz.

— Jeszcze by tego brakowało! Ale sprawozdania z naśladówek zżyna nasza popołudniówka.

— Dzięki temu mają czas, by więcej bywać na mieście. Samo życie, człowieku!

* * *

Michał wpadł do klubu jak bomba. Mirka już siedziała przy stoliku. Miała ładną bluzeczkę z dużym dekoltem.

— Jak zwykle się spóźniasz, mój latający reporterze.

— Publicysto! — poprawił.

— A co za różnica? Zamów dwie duże kawy. Ten upał mnie zupełnie wykończy. Nie możemy gdzieś wyskoczyć w plener?

(dcn.)